

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 18 listopada 1945 r.

Nr. 51

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Głos marksisty

Ksiądz Piwowarczyk w „Tygodniku Powszechnym”, Jerzy Andrzejewski w „Odrodzeniu” wygłosili artykuły o marksizmie, które nie powinny pozostać bez odpowiedzi. Obu autorów zajmują przede wszystkim zagadnienia moralne. Tymczasem współczesna problematyka filozoficzna ma charakter nieomal wyłącznie metodologiczny. Są to sprawy na pewno zupełnie dalekie od zawodu i zainteresowań duszpasterza czy pisarza.

Dzisiaj jednak nie można filozofować z sensem na tematy moralne bez znajomości problematyki metodologicznej. I ten kto czuje rzeczywistą potrzebę rozważań moralnych, przełamie się i poszuka do nich drogi poprzez propedeutykę metodologiczną. Inaczej dyskusja musiałaby być bezowocna.

Długie i nierozstrzygalne spory filozoficzne dawnych lat — jak wykazali współcześni semantycy — miały charakter sporów nie rzeczowych, lecz czysto słownych. Trzeba uściślić język dyskusji, aby osiągnąć możliwość rzeczowej wymiany poglądów. Język artykułów dwu cytowanych autorów, stąd i problemy, które stawiają, świadczą, że dla nich cały nowoczesny ruch semantyczny w filozofii nie istnieje. Otóż dzisiaj człowiek szanujący siebie i innych nie może lekceważyć tak doniosłych ułatwień technicznych. Podobny jest bowiem do obłąkanego mikrobiologa, który bierze udział w pracy naukowej, uczestniczy w poszukiwaniach badawczych, z zasady nie posługując się mikroskopem. Poziom techniczny, poziom sformułowań sporu idealizmu z materializmem w ujęciu ks. Piwowarczyka datuje się sprzed stu lat. Tak doprawdy, nie można. W tym ujęciu większość problemów i pytań szanownego autora — to są pozorne problemy i źle postawione pytania.

Ks. Piwowarczyk pisze: „...Nie da się naukowo udowodnić, że „istnieje tylko materia”... Wszyscy rozsądni ludzie wiedzą o zależności ducha od materii, codzienne doświadczenie przekonuje ich o tym”. Co to ma znaczyć? Albo to jest słowne nieporozumienie, albo obliczone na czytelników „Rycerza Niepokalanej”. Codzienne doświadczenie bezpośrednio nie pozwala sprawdzić żadnego twierdzenia ogólnego. Ani że wszystko co istnieje jest materialne, ani że wszystko co istnieje jest duchowo-materialne. Bądźmy uczciwi w dyskusji. Codzienne doświadczenie nie pozwala sprawdzić nawet znacznie skromniejszych zdań ogólnych, nawet, że **wszystkie** wrony są czarne.

Jesteśmy natomiast w stanie tą słuszną drogą sprawdzać zdania szczegółowe, które wolno nam traktować jako konsekwencje logiczne zdań ogólnych, całych systemów teoretycznych. Tak sprawdzamy ogólne teorie metodą dedukcyjną. Ten stan rzeczy wymaga specjalnie poprawnej i rygorystycznej budowy systemów teoretycznych, aby umożliwić w ogóle wspomniane operacje logiczne. Toteż dla rozstrzygnięcia podstawowych zagadnień ogólnych nie możemy weryfikować czy zaprzeczać konsekwencji byle mającena prywatnego zdrowego rozsądku — kontrolujemy konsekwencje teorii naukowych, zbudowanych z całym rygoryzmem, wedle wymagań od lat doskonałej techniki naukowej, dostosowane do wymagań ostrożności formułowań, skrupulatności badań, obiektywizmu, krytyczności umysłu. Otóż empirycznie poprawne są konsekwencje nowoczesnych teorii fizycznych. Te zaś opierają się jasno i prosto na założeniach, w których o duszy i duchu nie ma mowy. Czy jest mowa o materii i tylko o materii? Czy można naukowo udowodnić, że istnieje tylko materia? Otóż to są źle postawione pytania, to jest średnio-wieczna niedołączona technika rozważań filozoficznych.

Niestety, zainteresowania filozoficzne, a zwłaszcza metodologiczne w Polsce były zawsze niedostateczne. Filozofia kultury dzisiaj stała się modna. W obliczu zasadniczych decyzji, wobec których stoi dziś nasze społeczeństwo, te ogólne problemy nabrały aktualności dla wielu. Tymczasem przygotowanie do radzenia sobie z tymi zagadnieniami jest właściwie żadne. Muszę więc zacząć od nieco belferskich wyjaśnień.

Empirycznie rzecz biorąc nie można mówić o myśleniu poza językiem. Wszelki język tworzy system o swoistych dyrektywach,

o swoistej składni, której podporządkowują się wszystkie jego elementy. Zanim możemy sprawdzić fałszywość czy prawdziwość danego sądu, trzeba wiedzieć czy zdanie, które go wyraża, coś w ogóle znaczy, czy nie jest bezsensownym szeregiem słów. Technika tych badań semantycznych, badań logicznej składni języka, języka nauki, stoi dziś bardzo wysoko. Oddaje ogromne usługi teorii nauki, kontroli formalnej poprawności teorii naukowych.

Rozważałem wielokrotnie znane mi argumenty, nie tylko, a raczej przede wszystkim nie-marksistów i jestem przekonany, wbrew — przyznaję — niezwalczonej dzisiaj w pełni opozycji pozytywistów, że teorie naukowe mają charakter zamkniętych systemów. Ująłbym to słowami Lenina, że proste tworzenie pojęć (sądów, wniosków) wyraża poznanie przez człowieka coraz głębszej obiektywnej struktury świata. Dokonywa się więc w ramach teorii, empirycznie w systemie języka określonego jego dyrektywami składniowymi.

Otóż mamy marksistowską teorię kultury tj. materializm dziejowy, z jego swoistą teorią człowieka twórcy kultury itd. I mamy szereg idealistycznych filozofii kultury. Nie brak i mechanistycznie materialistycznych teorii kultury (współcześnie u wiedeńskich — neopoztywistów). Dedukcyjne sprawdzenie poprawności tych systemów przez kontrolę ich konsekwencji byłoby pracą na wiele pokoleń. Nie warto jej podejmować, jeśli się nie jest pewnym, czy język danej teorii odpowiada wymaganiom języka naukowego, czy budowa danej teorii odpowiada formalnym rygorom empiryzmu.

Żeby móc sądzić różne filozofie kultury, trzeba znać metodologię nauk humanistycznych. Na to nie ma rady. Nie mogę streszczać w artykule wyników wielu tysięcy stron rozważań. Mogę tylko odesłać do odpowiednich źródeł. Trzeba się uczyć, przemiąć wiek złoty.

Krytyka metodologiczna typu Rickerta, Diltheya, Troeltscha, Webera, Durkheima, wykazała całkowitą pozanaukowość naturalistycznych i tradycyjnie psychologizujących koncepcji kultury.

Natomiast krytyka neopoztywistyczna (Carnap, Popper, Kraft, Neurath) wykazała to jasno w stosunku do wszelkich koncepcji spirytualistycznych i neopsychologizujących (typu Sprangerza). Języki tych teorii nie odpowiadają rygorom języka nauki (jak je charakteryzuje Carnap, Tarski, Popper). Krytyka metodologiczna tychże neopoztywistów i konwencjonalistów francuskich wykazała zaś, że humanistyka stroniąca od wszelkich teorii, tylko opisująca — w ogóle nie podaje się sprawdzianom sensowności języka. Może jest wruszająca lub nudna, ale nie może być ani prawdziwa, ani fałszywa.

Natomiast w świetle tej samej krytyki marksistowska teoria kultury jest formalnie poprawna. To wiele. Te zaś jej konsekwencje, które w praktyce życia sprawdzimy, powoli jedna za drugą popierają tę jasną teorię argumentami empirycznymi. Ta praca empirycznej weryfikacji musi trwać.

Współczesna metodologiczna krytyka nauki uczy nas, że możemy mieć zaufanie do marksistowskiej teorii kultury. Natomiast nie możemy przywiązywać wagi do innych teorii dotychczas istniejących. Przeciwnikom marksizmu nie pozostaje nic innego jak zbudować nareszcie poprawną, choć na biegunowo różnych zasadach opartą teorię kultury. Może dokonają tego cudzi!

Materializm dialektyczny jest formalnie poprawnym uogólnieniem także twierdzeń marksistowskiej teorii kultury. I tyle za nim przemawia. Marksistowskiej teorii kultury nie da się obalić, jak to próbuje ks. Piwowarczyk, referując jej materialistyczne uogólnienia i przeciwstawiając im swoje niezłomne przekonanie, że jest inaczej. Ale odwrotnie weryfikując szczegółowe konsekwencje marksistowskiej teorii kultury uzasadniamy ją samą. Na jej zaś zasadności opieramy sprawdzenie zasadności wynikających z niej uogólnień tj. materializmu.

Natomiast teorie dualistyczne nie dadzą się uogólnić z jedynej istniejącej poprawnej teorii kultury — z marksizmem. To przeciw nim przemawia. I to dla ostrożnego umysłu starczy. Twierdzą, że nie ma lepiej metodologii z-

nie dzisiaj uzasadnionej koncepcji niż marksistowska. Czy to jednak wystarczy? Dla ostrożnego i krytycznego umysłu to na pewno mało.

Więcej zaufania budzą teorie cząstkowe, łatwiejsze do empirycznej weryfikacji. Takie teorie jakie w praktyce budują poszczególne nauki — tak, jak się historycznie rozwinęły. Lecz właśnie wyniki tych nauk empirycznych dadzą się z dużą zasadnością uogólniać.

I tu znów nie mogę streszczać wielu teorii. Odsyłam do źródeł. Trzeba znać nowoczesną humanistykę. Dla przykładu weźmy nowoczesne językoznawstwo, najlepiej dziś metodologicznie postawioną konkretną naukę o człowieku (patrz Troubetzkoy, Bühler, Jakobson, Kuryłowicz). Od strony formalnej dyrektyw języka tej teorii są tożsame z dyrektywami języka marksistowskiej teorii kultury (np. pojęcie stosunku jako podstawa systemu pojęć teorii, rygorzy klasyfikowania itp.).

A dalej teoria ta, lepiej i pełniej niż jakakolwiek inna wyjaśniająca fakty, opiera się na założeniach (antynaturalistyczna i antypsychologizująca koncepcja człowieka itp.) rozwiniętych przez marksizm — a nie przez inne filozofie kultury.

Toteż marksizm nie jest żadną religią, nie wymaga wiary. Cenię marksizm, ponieważ znajduje uzasadnienie w nauce współczesnej. Dlatego wybrałem go spośród wielu przemysłanych koncepcji. To nauka jest dla mnie — proszę księdza — przedmiotem podstawowego aktu zaufania. A wolę naukę niż biblię! I aktualność marksizmu — powtarzam — wynika tylko stąd, że tymi samymi koncepcjami człowieka twórcy kultury, praw rozwoju historycznego, periodyzacji historii itp. co marksizm, posługują się dzisiaj najbardziej przodujące teorie naukowe lingwistów, socjologów, historyków. Marksizm o tyle jest aktualny, że ułatwia tym uczonym syntetyzowanie wyników i porozumiewanie się. A to wiele. O rewolucyjnej społecznej funkcji teorii

WIESŁAW OSTERLOFF

Źródło przestępczości w ustroju

W ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia włoski uczonej prof. Cesare Lombroso dziełem „L'uomo delinquente” (Człowiek-zbrodniarz) stał się twórcą tzw. antropologicznej szkoły prawa karnego. Słynny kryminolog wychodzi z założenia, że istnieje typ człowieka-przestępcy, od samego już urodzenia predestynowany do popełniania zbrodni. Zbrodniarz jest więc patologicznym podrodzajem gatunku hominis sapientis o swoistych cechach fizycznych, psychicznych i nawet fizjologicznych, które różnią go zasadniczo od normalnych ludzi i zniewalają do wyłamywania się z szranków prawnych, stworzonych przez organizację społeczną. W drobniogłowych badaniach laboratoryjnych, w oparciu o bogaty materiał statystyczny, zebrany w więzieniach i szpitalach dla obłąkanych przez plejadę swych uczniów, Lombroso ustala kilkadziesiąt znamion, rzekomo charakterystycznych dla owego specyficznego rodzaju człowieka-zbrodniarza. Niektóre z nich tworzące pojęcie tzw. typu lombrosowskiego, stały się dziś powszechną własnością ogółu.

Nie jest moim zamiarem polemizowanie z wartością badań Lombrosa i zbieranych pod takim czy innym kątem widzenia statystycznych danych. W odniesieniu bowiem do jego nauki, byłoby to przy dzisiejszym stanie kryminologii tylko wyważaniem otwartych drzwi. Jeżeli zaś zajmujemy się nieco bliżej teorią włoskiego profesora, to dlatego, że nauka jego w ostatnich czasach, z odpowiednimi naturalnymi modyfikacjami, odżyła w hitlerowskiej koncepcji tzw. Berufs- i Gewohnheitsverbrecher (zbrodniarzy zawodowych i z nawyku). Tu tylko wypada stwierdzić, że próby rozwiązania sprawy przestępstwa na płaszczyźnie biologicznej, chociaż mogą doprowadzić do efektywnych wyników i frapujących oryginalnością uogólnień, nie mają wartości, a gdyby w świetle obiektywnej prawdy naukowej znalazły uzasadnienie, wówczas pod znakiem zapytania stanąć by musiało znaczenie i skuteczność profilaktyki społecznej. Prawo bowiem nie istnieje poza społeczeństwem, a chociaż można by je uznać za wyrozumowaną ideę, to przecież dopiero w organizacji społecznej traci ona swą abstrakcyjność i nabiera rumieńców życia. Przestępstwo przeto jako zamach na obowiązujący porządek prawny i jego naruszenie,

marksistowskiej, o jej roli wychowawczej nie potrzebujemy tu mówić, bo to są sprawy, już dla przekonanych marksistów.

Cenię naukę a podług niej marksizm. Tylko przez swą naukowość marksizm może być podstawą rzetelnej racjonalistycznej kultury podatnej do planowania, przychylniej wszystkiemu co ludzkie, kultury, która winna nas łączyć w obronie dorobku cywilizacyjnego przeciw klasowemu egoizmowi, przeciw wsteczności, fanatyzmowi, przesądom, ciemności, bezładowi, anarchii gospodarczej i społecznej, przeciw przemocy i wyzyskowi. Przeciw temu wszystkiemu co kępuje — to co najbardziej wolne i wolność zabezpieczające: racjonalna, krytyczna, naukowa myśl ludzka. Tyle księdzu Piwowarczykowi.

Świetnie napisany natomiast artykuł Andrzejewskiego jest ciekawym objawem procesów dokonywających się w naszym środowisku inteligentkim. Podkreślenie moralnych wartości marksistowskiego poglądu na świat należy powitać z całym uznaniem. Jedno jest tylko w stanowisku Andrzejewskiego niebezpieczne. Stawianie marksizmu i katolicyzmu na jednej płaszczyźnie. Wiara, że może sięgać wedle woli do tego lub do tego zespołu idei. Z poprzednich moich wywodów chyba wynika pośrednio, że tak nie jest. Marksizm i katolicyzm, to nie są dwa obrazy świata uzupełniające się, z których jeden oświetla dane momenty, a drugi wzbogaca je momentami uchwyconymi z innej perspektywy i tak oba dają coś pełniejszego, bogatszego.

Język marksizmu i język katolicyzmu — to są dwa tak różne języki, że dowolnie stopione w jeden nie tworzą języka, ale bełkot, nie pozwalający budować zdań prawdziwych lub fałszywych, lecz tylko bezsensowne szeregi słów.

Niestety, dociekania teoretyczne nie są sprawą tak dobroduszną. Rządzą się surowymi prawami. I nie ma na to rady. Kto wybrał marksizm — katolicyzm musi odrzucić.

Stefan Żółkiewski

może być pojęte i rozpatrywane tylko w aspekcie społecznym, jest bowiem zjawiskiem par excellence socjalnym.

Teoria więc Lombrosa to koncepcja nad wyraz pesymistyczna, wynik deterministycznego poglądu na świat, gdzie człowiek ma już a priori wyznaczoną marszrutę życia, absolutnie niezależną od czynników woli i skrepowaną przez bezduszną mechanikę biologicznych procesów. W takim atoli wypadku przewartościowaniu zupełnie ulec by musiała kwestia odpowiedzialności, winy i kary; do absurdu doprowadzona byłaby cała polityka penalna, zabrakłoby wymiarowi sprawiedliwości jakiegokolwiek uzasadnienia moralnego. Nauka ta, usiłując szukać rozwiązania zagadnienia socjalnego i biorąc za punkt wyjścia jednostkę oderwaną od społeczeństwa i posłuszną własnym wewnętrznym nakazom, jest wypiętyem epoki hipertrofii indywidualizmu czasu, kiedy Max Stirner stawia jednostkę na biegunie przeciwnym społeczeństwu, a Nietzsche wznowiając protogorasowską tezę o człowieku będącym miarą wszechrzeczy, wielbi potęgę „Übermenscha” stojącego poza dobrem i złem. Nie więc dziwnego, że mimo olbrzymiego rozgłosu znajduje ona wielu przeciwników, którzy usiłują naświetlić tę ważką kwestię ze społecznego punktu widzenia.

I tak w początkach XX wieku powstaje szkoła francuska głosząca teorię „milieu”, środowiska. Człowiek staje się przestępcą nie dlatego, że z piętnem zbrodni przyszedł na świat, lecz że do niej skłaniają go warunki, w jakich się znajduje. Tu wyraźnie pobrękuje echo marksistowskiej nauki o człowieku, produkcie otoczenia i wychowania. I lubo nie sposób zaprzeczyć obiektywnej słuszności tego stanowiska, problem bynajmniej nie jest jeszcze rozwiązany. Wyjaśnienie skutku, choć etiologicznie ogromnej wagi, wymaga od chirurga ostrego skalpela dla usunięcia przyczyny i radykalnego uleczenia choroby. Teoria wtedy bowiem dopiero nabiera mocy doktrynalnej, jeżeli w praktyce przeprowadzony zostanie dowód jej niezłomności. W temacie nas interesującym jest to na razie wciąż muzyką przyszłości i od nas, budowniczych sprawiedliwszego dzisiaj i lepszego jutra zależy, by ten dezyderat przyoblekł się niezadługo w szatę rzeczywistości.

Jakkolwiek zaprzeczenie osiągnięć współczesnej genetyki byłoby wstecznictwem naukowym, to jednak hipoteza człowieka-przestępcy przynoszącego na świat zarodki zbrodni, aktem poczęcia przez jego rodziców już węż wążone i potencjonalnie w nim drżące aż do czasu, kiedy pod wpływem sprzyjających bodźców zewnętrznych lub impulsów wewnętrznych pierwiastek zła rozwinię swą prawoburczą działalność, traci znacznie ostrze fatalizmu, jeśli się zważy, że chodzi w tym wypadku o dziedziczenie nie tyle wrodzonych co wtórnych, nabytych cech psychicznych. Powstanie ich jest skutkiem, chodzi zaś o przyczynę ich rozwinięcia się. A przyczyną tą jest otoczenie, warunki wychowania i życia w ogóle. Na początku nie był człowiek zły, dopiero środowisko, w jakim musiał żyć, zrobiło z niego przestępcę i te nabyte, wrogie lądowi społeczeństwu skłonności, począł przekazywać następnym pokoleniom. W tym tylko sensie mówić można o dziedzicznym typie zbrodnicy. Źródła przestępczości nie tkwią przeto w psychicznych anomaliiach indywidualum, lecz jako zjawisko nawskróś społeczne wypływają z niedomagań społecznego ustroju. Abstrahujemy tutaj od sporadycznych wypadków wynaturzeń, dla których jednak i tak prawie zawsze da się jako przaprzyczynę wysledzić podłoże socjalne. W ten sposób rozstrzygającym w zagadnieniu staje się problem wad ustrojowych i w socjalistycznym jego rozwiązaniu znajdujemy nowe możliwości skutecznego zwalczania upartej zarazy społecznej, którą jest przestępczość.

Dane statystyczne powszechnie wykazywały, że znakomita większość przestępców, mowa tu jak i w całym artykule wyłącznie o popolitych kryminalistach, rekrutowała się z tzw. warstw niższych, z nizin socjalnych, do których zaliczany był przede wszystkim proletariatus miejski, a dalej stan chłopski. Społeczeństwo burżuazyjne łatwo, stąd wyciągało wnioski o rzekomej aspołeczności klasy robotniczej, o jej wrogim stosunku do jakiegokolwiek ładu organizacyjnego, o szkodliwości i niemoralności pogardliwie przez nie nazywanej „hołoty“, którą w ryzach utrzymać mogą tylko policyjna pałka i mocne mury więzienia. Rzecznicy ustroju kapitalistycznego zapominali natomiast chętnie o przyczynach takiego stanu rzeczy, nie chcieli widzieć, że leży ono tylko i wyłącznie w burżuazyjnej organizacji społecznej. Olbrzymia dysproporcja stopy życiowej klasy pracującej i posiadającej wytwarzała niewidzialną, a jakże dotkliwie odczuwaną barierę; z jednej jej strony stał legion obdartych, ciemnych, głodnych i gorączką suchot trawionych pariasów, którzy tylko w mgłę oćmy alkoholicznej umieli znajdować chwile złudnego ukojenia, a z drugiej w lśniących limuzynach i wykwiniecie tualet panoszyło się brzuchate jaśniepaństwo, symbol nieróbstwa i dobrobytu, parasorzytństwa i krzywdy. Cóż więc dziwnego, że nieprzeparty nakaz instynktu samozachowawczego w obliczu nędzy własnej ciężko harującej rodziny i niezastużonego luksusu próżniaków przełamuje restrykcje etyczne i co ważniejsze, lek przed karą — i tak rodzi się przestępstwo będące w swoim zaraniu niczym innym, jak krzykiem buntu wobec niesprawiedliwości społecznej. I cóż w tym dziwnego, że młoda dziewczyna z klasy robotniczej, pełna wspólnych z wszystkim kobietom pragnień stroju, podobania się i uciechy, chciwie chłonąc widok wyfiokowanych dam z „lepszego świata“ znikających za drzwiami eleganckich lokali — zapragnie jeden jedyny tylko raz użyć tych nieznanych cudów i... zejdzie powoli na śliską ścieżkę wielkomięskiej nowoczesnej prostytucji.

Nie w psychicznych wykrzywieniach sfery ciężko pracującej, nie w braku poczucia solidarności społecznej u proletariatus, ale w kontraście kastowym, ale w dysharmonii wczorajszego układu socjalnego szukać należy źródeł powstającej i szerzącej się przestępczości tych, których dufni w wszechmoc pieniądza nazwali przedwczoraj „ludźmi bez jutra“. Na usługach posiadających i na straży swobodnego trwonienia przez nich majątków, cudzym kosztem nabytych, stała cała organizacja państwowa.

Hierarchia urzędnicza — pilnująca dobrze interesów finansjery, bo były one jednocześnie jej własnymi interesami.

Kościół — który w ciemnocie i średnio-więcznym zabobonie utrzymywał szerokie masy, bo z tej ciemnoty i zabobonu niepoimierne ciągnął zyski, groził ogniem piekielnym tym wszystkim, co dają posłuch reformatorskim dążeniom ustrojowym, a z niezyciowej i niemoralnej instytucji małżeństwa sakramentalnego umiał czerpać intratne dochody konsystorza.

System szkolny — umożliwiający naukę w praktyce tylko majątnym, w ten sposób kładąc sztuczną tamę usiłowaniam przedarcia się zdolnych ludzi przez barierę.

I wreszcie samo prawo — w założeniach pozornie demokratyczne, ale w zastosowaniu inną zupełnie miarą oceniające wyłamanie się z obowiązującego porządku ludzi możnych, a bezlitośnie karzące najdrobniejsze zamachy na dobrą uprzywilejowanych. Dobry aparat sądowo-urzędniczy, złożony ze „swoich“ ludzi, umiał doskonale rozróżniać między kradzieżą czy zabójstwem popełnionym z nędzy, potrzeby materialnej, a takimż czynami ze sfery odgórnej, którym na pomoc przychodził zaraz lekarz psychiatra lub ma-

giczne formułki kazuistyki w rodzaju działania w afekcie, siły wyższej albo też stanu konieczności. Tak, że czyny te traciły rychło piętno zbrodni: popolitej nabierając znamion patologicznego wysoku lub, co gorsza, romantycznej ekstrawagancji.

To były główne czynniki egzuwające nad utrzymaniem istniejącego stanu niesprawiedliwości społecznej; bez ich usunięcia nie było dotąd mowy o racjonalnej akcji zwalczania przestępczości, boć one w tej formie, w jakiej występowały, były właśnie przyczyną jej szerzenia się.

Dzisiaj czasy zmieniły się radykalnie. Robotnik i chłop w solidarnym związku uchwycił krzepką ręką ster rządów. Likwidacja majątków obszarniczych i wielkiego kapitału prywatnego w przemyśle odsuwa zromę wyzysku człowieka przez człowieka. Demokratyczna reforma szkolna da z czasem sztab własnych urzędników administracyjnych. Zerwanie konkordatu z Watykanem wpłynie korzystnie na umniejszenie politycznej infiltracji Kościoła jako orędownika kapitalistycznej formy ustroju społecznego. Naturalnie, są to wszystko tylko pierwsze kroki na drodze do ostatecznego uzdrowienia stosunków socjalnych. Dzisiaj wchodzimy dopiero w początkowy okres rekonwalescencji.

Bardzo poważnym etapem w drodze naprzód będzie sprawa, o której społecznemu znaczeniu nawet nie wypada tracić słów, sprawa zapowiedzianej kodyfikacji prawa, powierzonej specjalnej komisji ze zleceniem dokonania jej nie później niż na 1. IV. 1946. Potrzeba prawdziwie demokratycznego, nieprzedanego prawa jest dziś tak żywa, jak nigdy, z niepokojem tylko pewnym przyjąć należy zbyt krótki termin postawiony komisji, który może spowodować niekorzystne luki, opuszczenia i niedopatrzenia. Lecz postawienie w ustawie miejsca na zastosowanie wykładni analogicznej i umiejętnie z niej korzystanie pozwoli wybrnąć z wszelkich nieprzewidzianych i nieprzewidywalnych sytuacji.

Jesteśmy zdania, że konieczne jest wprowadzenie ustawy dopuszczającej szerokie stosowanie wykładni w interesie demokracji przed dalszymi zakusami reakcji w przyszłości. Niemniej ważną sprawą jest reforma studiów prawniczych, o której konieczności i w Polsce przedwzrośniętej często się mówiło. Ponieważ przekracza to ramy tematu, poprzestaniemy tu na postulacie wprowadzenia do studiów kryminologii jako odrębnej dyscypliny naukowej. Ta gałąź wiedzy o olbrzymim znaczeniu praktycznym dla sędziego śledczego, prokuratora i służby bezpieczeństwa, wszędzie na Zachodzie miała swoje katedry, a u nas nie umiała się zdobyć na skromną docenturę. Oryginalne wartościowe dzieła polskie z tego zakresu, poza książką Estreichera, trudno wymienić.

Jest rzeczą znaną, że burzom dziejowym towarzyszy zazwyczaj powszechne rozluźnienie moralności; kiedy huczą armaty, gwizdzą kule i ziemia drży pod stopami, łatwo pozbywa się człowiek skrupułów, a niepewność jutra każe korzystać z chwili. Zasady etyczne okazują się nagle balastem, który daje się wyrzucić bez większego wysiłku za burtę sumienia. Zjawisko to wytłumaczone przez socjologów i znajdujące biologiczne uzasadnienie w instynkcie samozachowawczym staje się poważną bolączką społeczną w dobie pokojowej.

Szczególną przeto dzisiaj należy zwrócić uwagę na wszelkie przejawy tego zjawiska. W okresie bowiem okupacji niemieckiej mieliśmy do czynienia z podwójnym niejako nurtem życia prawnego-etycznego. W stosunkach wzajemnych między Polakami obowiązywały, a raczej powinny były obowiązywać nadal zasady przyzwoitości i uczciwości. Natomiast wobec Niemców czyny, które w normalnych warunkach zasługiwały by na potępienie, zyskiwały wysoką szarzę patriotycznej, żeby wymienić tylko sabotaż, hasło „pracujemy powoli“, szmugiel itd. Zmuszeni do tego, walcząc o byt własny i najbliższych, zyliliśmy wszyscy potrosze „na lewo“. I ten fałszywy, choć w swoim czasie naturalny stosunek do pracy ciężkiej i dzisiaj na całym społeczeństwie. Sprawy te zresztą są w prasie ustawicznie i zupełnie słusznie podnoszone, niestety, jednak do tej pory bez wyraźniejszych oznak poprawy. Władze sięgają do coraz surowszych środków, by zwalczyć epidemię — smutne dziedzictwo wojny, lecz wielu wciąż jeszcze nie chce zrozumieć, że żyć „na lewo“ i teraz, znaczy być przestępcą. Uświadomienie o tym społeczeństwu leży w interesie wszystkich, a przede wszystkim winno być ono podjęte przez partyjne organizacje, które przez odczyty i wykłady mogą wydatnie przyczynić się do oczyszczenia atmosfery. Kary, nawet najsurowsze, mają bardzo problematyczną moc odstraszenia, o czym dobrą mieliśmy okazję przekonać się za Niemców, choć ci kar i to stosowanych w najbardziej szkodliwej formie przecie nie szczędzili. O wiele skuteczniejsza może tu być praca wychowawcza, podjęta przez odpowiedzialne i świadome swej roli czynniki społeczno-polityczne. Nie ulega zaś wątpliwości, że niekłękła bakcylem zarazy łatwego życia część narodu, wysiłkiem tym przykłaśnie i weźmie czynny udział w dziele odrodzenia moralnego i restrykcji uczciwości.

Wiesław Osterloff

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Nieznany Polsce gród Koszalin

Tam, gdzie wąska struga, zwana przez słowiańską ludność Pomorza piastowskiego Derseciną, przybliża się do góry Chełm, wznoszącej się 137 m. nad poziom pobliskiego morza, zbudowali Pomorzanie w czasach przedhistorycznych gród zwany Kosalice, zamieszkiwany snąc przez potomków jakiegoś Kosa, Kosala, czy Kosego. Inni wywodzą nazwę od słowa „gaszcz“ lub „kuszcz“, stąd Kuszalin, miejsce po wyrębie zarosłe krzewami, dziś Koszalin.

Olbrzymie obszary lasów, rzeczka, gród, góra Chełm darowane zostały w roku 1214 przez księcia Bogusława II klasztorowi Cystersów w Białym Buku koło Trzebiatowa, którzy na górze Chełm wzniesli kaplicę, sławne miejsce pątnicze na środkowym Pomorzu. Prawdopodobnie chcieli w ten sposób usunąć kult Belboha, białego boga, kwitnący tu za pogańskich czasów. Od chwili, kiedy w 30 lat później okolica wraz z grodem przeszła w ręce biskupów w Kamieniu, stał się Koszalin nie tylko miejscem pielgrzymek na górze Chełm, lecz także bastionem niemieckości na Pomorzu. Tu właśnie, począwszy od góry Chełm, w kierunku na wschód ciągnęły się posiadłości Pomorza Wschodniego, kraj Samborów i Mestwinów, związanych z Polakami. Co na zachód szło, ciążyło ku Niemcom.

Ponieważ Koszalin stał na granicy, biskupi dbali o to, aby był warowny. W roku 1266 biskup Herman von Gleichen wydał dokument fundacyjny grodu. W krótkim przeciągu czasu, bo już w roku 1292, mieszkańcy opasali miasto fosą, murem i basztami. W postaci tej przetrwał gród zasadniczo do roku 1815, do zerwania murów, częściowo zresztą opasujących miasto środkowe do dziś dnia.

Sądząc z tego, co zostało, gród był topograficznie interesujący i piękny. Obfitość wody Derseciny, płynącej z jeziora Lubiatowskiego, pozwalała napełniać szerokie fosy głębokim strumieniem. Na północy u stóp żeńskiego klasztoru cysterskiego, gdzie dziś lśni szeroka tafla stawu zamkowego, zastawiono bieg rzeki i zbudowano młyn wodny. Dziś młyn tutaj również się znajduje. Woda opływała także Bramę Wysoką, gdzie dziś stoi liceum dla dziewcząt, i Bramę Nową, gdzie kolej i dworzec. Śladów pierwotnego grodziska słowiańskiego należy szukać na północ, na zewnątrz murów grodu niemieckiego, wzdłuż Derseciny i ul. Garbarskiej. Bądź co bądź wybór miejsca, kierunek przyszłego grodu, należy do autochtonów, do Pomorzian. Oni byli pierwszymi właścicielami ziemi, oni upatrywali stosowne punkty pod osiedla; Niemiec ciągnął za pomysłem Słowian.

Co jest w Koszalinie słowiańskiego? Z pewnością nie kościół Mariacki, stary, z czerwonej cegły, poważny, dostojny gmach, po roku 1300 zbudowany. Mury są niemieckie, ale część rzeźb świętych pochodzi z pierwotnego kościółka na górze Chełm, zwłaszcza wielki krucyfik i wejścia do baptysterium, a jeszcze pewnie krucyfiks mały znajdujący się w zakrystii. Rzeźba drewniana ma u góry w głowie lejkowaty otwór, skąd idą przewody do oczu i ran w dłoniach i stopach. Czerwonym płynem namoczona gąbka sączyła krew do oczu i ran, gdy się zaczął odpust na św. górze Chełm, za pomorzańskich czasów, przed reformacją, podczas której sławna świątynia na Chełmie uległa likwidacji i to szybko.

Jest jeszcze jedno miejsce w grodzie Koszalinie, które nas, Polaków, przyciągać musi, mianowicie resztki zamku, gdzie rezydowali słowiańscy książęta pomorscy. Po zaprowadzeniu reformacji członkowie Piastów szczecińskich zastrzegli sobie godność biskupów kamieńskich chcąc zabezpieczyć olbrzymie latyfundia tych książąt Kościoła dla członków swej rodziny. Osiągnąwszy ten cel, porzucili starożytną rezydencję biskupią w Kamieniu zbytnio klasztor przypominającą i przenieśli się do Koszalina.

Zapoczątkowało to erę świetności miasta od 1556 do 1622. Znać, że słowiańska krew płynęła w żyłach tych książąt świeckich, choć dostojników z mitrą biskupią. Żyli szeroko, budowali, przekształcali miasto, zrobili z niego świetny ośrodek kultury i dworskich manier. Mieszkańcom miasta i okolicy, ciężkim północno-zachodnim Germanom używającym języka dolno-niemieckiego wydał się dwór książęcy jakby bajką z zaczarowanego świata.

Już pierwszy książę, buńczuczny i dumny Jan Fryderyk (1543—1600), gdy tylko się pojawił w Koszalinie w roku 1569, kazał zerwać budynki klasztoru Cystersek, opustoszałego zresztą za przyczyną Lutra i zbudował rezydencję godną Piastów Gmachy, pawilony, obszerne podwórce, ogrody zamkowe, zwierzyńce, kościół książęcy, to wszystko powstało, w pierwszych kilku latach jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej. Gdy się książę zjawiał, miasto grmiało od wrzawy i gwaru. Sokoły, rycerstwo, turnieje szły jednym ciągiem. Dziwili się Niemcy, gdy książę Piast się bawił.

Nie mogli koszaliniacy lepiej trafić, jak właśnie otrzymując Jana Fryderyka na pierwszego biskupa-księcia. W Koszalinie bawił on krótko, bo od 1569 do 1574, gdyż wnet

odwołał go losy na księcia Szczecina i pana całego Pomorza. Był on jedną z najwybitniejszych indywidualności książąt piastowskich w Szczecinie. Za młodu studiował w Gryfii. Potem podróżował po Europie. Na Węgrzech dowodził ramię w ramię z hr. Zrinyem oddziałem wojsk przeciw Turkom. Po epizodzie koszalińskim, który był dla małego miasta istnym przebudzeniem z letargu, kroczył Jan Fryderyk coraz śmielej w szeregi najbardziej energicznych książąt swej epoki. W Szczecinie tak jak w Koszalinie kazał zburzyć stare zamczysko Piastów — jakaś niepowetowana dla nas strata — i zbudował nowe gmachy, wypełnił je dziełami sztuki, które zamawiał u najtęższych, współczesnych mistrzów. Zbudował poza Szczecinem nową rezydencję letnią, w której przebywał otaczając się księgami, obrazami, rzeźbami, zakochany w swej młodziutkiej żonie, — postacią przypominającą do złudzenia współczesnego kuzyna krakowskiego, Zygmunta Augusta.

Taką to figurę wybitną dane było Koszalinowi mieć przez parę lat pośród siebie. Naprawdę błysnął on nad Derseciną jak gwiazda płomienna na spokojnym niebie. Jan Fryderyk, fantast, chorąży wojsk cesarskich, naśladowca Filipa II hiszpańskiego, arbirer elegantiarum, mecenas artystów — i Koszalin! Gdyby pobyt tutaj dłużej, oczom naszym po tym Piaście jawiłby się ogrom przemian. Miasto wyglądałoby inaczej. Zrobiłby z niego mały Kraków, Słupsk czy Szczecin.

Następca Jana Fryderyka, książę Kazimierz, również okazał się prowadzić. Zajechał w roku 1574 z orszakiem, z tętentem, kazał sobie złożyć uroczysty hołd i zaczął prowadzić dwór na wielką skalę. Przybyło z nim mnóstwo dworzan swoich i cudzoziemskich. Zamek dostał nowe urządzenia, wieża zamkowa zegar z hejnałem, ulice nowe nazwy: Książęca, Zamkowa, Junkierska, Rycerska — młody Medyceusz rządził Koszalinem. Letnią rezydencję wybudował nowy pan w pobliżu morza, niedaleko naszego dzisiaj Złotobrzegu, kapiełiska bałtyckiego u stóp morza, letnią rezydencję nazwaną — zupełnie jak u polskich Piastów — Kazimierzem. Tam spraszał, bywało, całe miasto, mieszczan z żonami i córkami, gościł ich, karmił i poił, a gdy brakło płynnej gotówki w kasie, szedł skarbnik księcia do zarządu miasta: taktiemu panu nigdy nie godziło się odmawiać. Ba, trzeba było odwzajemniać się za gościnę, a więc nowe serie balów i przyjęć w samym cichym dotąd Koszalinie. Na ratuszu, który stał w środku rynku, gdzie dziś sterczy zniszczony pomnik Fryderyka Wilhelma I, otwierały się podwoje. Setki srebrnych pucharów, z których sływał skarbiec miasta, znoszono na stoły. Uczta zaczynała się od nowa, w stylu renesansu.

Od roku 1602 do 1618 rezydował w Koszalinie Franciszek I, książę-biskup kamieński, synowiec Kazimierza, wielki miłośnik polowania. Odbudował na kaplicę zamkową, stary kościół pocysterski, wznosił pałacyk w ogrodzie zamkowym, złożył tor dla jazdy konnej; goniono tam i strzelano do celu. Najbardziej upamiętnił się zamówieniem malowideł do kaplicy zamkowej. Sprowadziwszy mistrzów holenderskich, kazał ozdobić ściany kaplicy scenami z dziejów swych piastowskich ojców. Szczególnie Bogusław X, pradziad, natura bujna, pątnik do Jerozolimy, dostarczył Kazimierzowi wielu tematów do tych malowideł. Koszaliniacy pamiętali tego księcia. Wiedzieli, ile pieniędzy kosztowała ich ojców awantura w roku 1475, kiedy uniesieni gniewem na kilku dworzan mieszczanie napadli na zamek w Canowie obok Koszalina i wzięli księcia do niewoli. Bogusław X, nie protestował, pozwolił się przywieźć na drabiniastym wozie do miasta, lecz gdy sprawa się wyjaśniła, gdy mieszczanie ochłonęli i z wszystkich osad kraju nadszły rycerze na ratunek księcia, że śmiechem na ustach nałożył mieszczanom w Koszalinie 3.000 guldenów kary i podarki dla dworzan i ciężki ładunek srebra dla obrażonej księżnej.

Jeszcze jeden, ale już ostatni książę z rodu Piastów mieszkał w Koszalinie. Był to Ulryk, wielki miłośnik turniejów, ćwiczeń rycerskich i strzelania do celu. Przebywał częściej w Szczecinku niż w Koszalinie. Wybudował tam nowy zamek, dziś nie istniejący. Atmosfera Koszalina nie odpowiadała jego gustom.

Mieszczanie Koszalina znani byli z ciężkiego dowcipu, z fatalnych pomysłów i pechowości. Bili się w średniowieczu z Kołobrzegiem, z Korlinem, zniszczyli klasztor w Bukowie. Za wszystkich przychodziło im w rozrachunku ostatecznym płacić, przeproszać, ponosić konsekwencje. Byli przedmiotem drwin całego księstwa.

A pracowali biedacy w pocie czoła. Rzemieślnicy, złączeni w cechy, wyrabiali sukno, piwo, różne sprzęty z drzewa, szkuty do połowu ryb na jeziorze Jamno i na morzu. Na placu św. Mikołaja modlili się do patrona fal, w kapliczce dziś zniszczonej. W skutkach zapuszczali się aż po Danię i po Szwecję na półow śledzi. Do Hansy bali się zapisać, bo zbyt drogo kosztowało. Dopiero książęta Piastowie ich rozruszali i nauczyli dworniej żyć, pole-

rować sposób bycia i wydawać pieniądze z wdziękiem.

Wojna 30-letnia położyła kres świetności miasta zajmowanego na przemian to przez królewskich, to przez Szwedów, jednych i drugich nakładających ciężkie kontrybucje i kwatery u mieszczan i wieśniaków. Szczytem nieszczęść był pożar w roku 1718, w którym spłonęło całe miasto, wyjąwszy kościół Mariacki, baszty i mury. Fryderyk Wilhelm, ojciec Fryderyka II, był zmartwiony klęską, dał pieniądze. Przy wysiłku społeczeństwa miasto odbudowało się doskonale i w bardzo szybkim tempie. To co dziś, w 1945, widzimy ze zgliszcz na rynku, to resztki właśnie wówczas powznoszonych, jednolitych, brzydkich, w pruskim stylu pobudowanych gmachów.

Drugi rozkwit miasta zaczął się po kongresie wiedeńskim od 1815 roku, kiedy Koszalin obrano na stolicę rejencji. Jak niegdyś dwór książąt Piastów, tak teraz prezes rejencji i sztab urzędników przyczynił się do pomyślności miasta. Koszalin nie miał tak rozwiniętego handlu i przemysłu jak Stupsk, nie miał portu i charakteru morskiego jak Kołobrzeg, ale jako centrala władz wybijał się coraz bardziej na czoło miast na obszarze między Szczecinem i Gdańskiem.

Z rejencji przybył sąd okręgowy, urzędy, liczne szkoły. Dawną szkołę łacińską zamieniono na gimnazjum, otwarto seminarium nauczycielskie, później w roku 1890 przeniesiono z Chełmna do Koszalina szkołę kadetów, założoną przez Fryderyka II. Wybudowano dla niej w stóp góry Chełm kompleks wspaniałych budynków przy ul. Gdańskiej. Cała dzielnica wschodnia, tzw. przedmieście Fryderyka Wilhelma III powstało w tym okresie, po zerwaniu murów miasta i regulacji nowego planu zabudowy. Liczne koszary stanęły na peryferiach, piękne szkoły wewnątrz. Przed wybuchem ostatniej wojny istniało tu 5 wielkich gmachów szkół powszechnych, seminarium, pedagogium doktora Reusse'a, liceum, przedszkole, szkoła wydziałowa, szkoła zawodowa, rolnicza i inne. Miastem urzędów, szkół, koszar, rentierów i emerytów był Koszalin, rozbudowany szeroko w zieleni, sadach, na liczących przedmieściach ciągnących się kilometrami wzdłuż arterii ku morzu, ku górze Chełm, ku Rogaczewu — Rogzowie.

Oko ekonomisty mogło spocząć z zadowoleniem na innych obiektach. Przede wszystkim na wielkiej fabryce papieru nad dolną Derseciną, zatrudniającej w dobrej koniunkturze do tysiąca robotników. Produkowano w niej dziennie 70.000 kg papieru różnego gatunku. Dalej fabryka konserw rybnych, własność Waldemana. Wypiecizowała się ona też w rzucaniu na rynek setek tysięcy „piersi gesich“. Gęsi skupowano masowo w chudym stanie, ze ścierniska, jesienią w Polsce, a na św. Marcina, po utuczeniu, rozprowadzano po Niemczech i innych krajach. Wytwórnice maszyn rolniczych czyniły zadość potrzebom zaplecza pomorskiego. Przetwórnica tekstylna lnu temuż służyła celowi.

Wojskowy miał się czym interesować w Koszalinie. Nowoczesne liczne koszary na wschód od miasta odbiegały szczęśliwie od nieznosnego pruskiego stylu lat wilhelmskich. Lotnisko przy dzisiejszej ulicy Jana z Kolna i stacja samolotów wodnych w Uniesjach, jak i fabryka samolotów wojskowych, późniejsze zakłady Ambi, świadczyły o gotowości wojennej kraju.

Doskonale rozbudowana sieć dróg szosowych, tramwaj elektryczny w mieście i dojazd także do wybrzeża w Mielnie i Uniestach ułatwiały mieszkańcom komunikację. Wyobrazić sobie można, jak latem miasto pustoszało, a jak ożywiało się morze ze swymi kąpieliskami, które leżą wzdłuż wybrzeża, odległego o 10 km. Zarówno miejsca nad śródlądowymi jeziorami, nad Jamnem i Bukowem, miejscowości Jamno, Łabusz, Łazy, Osiek, Bukowo, Mielno Wielkie i Małe, Złotobrzeg, jak i inne punkty morskie aż do Kołobrzegu, a na wschód aż do polskiej granicy do Żarnowca roily się od letników.

Dziś te ośrodki morskich kąpiei zaludniły się postaciami brązowymi i różowymi ludzi mówiących tak jak niegdyś mówili mieszkańcy tego pobraża. Bałtyk przypomniał sobie, znowu dźwięki, wibrujące tu przed 300—400 laty. Poszli ci, co charczeli „Pommern“, zjawili się ci, co zawodzą śpiewnie: Morje, Pomorju — Morze, Pomorze. Ciemnobłękitną, lśniąca, nagrzaną w słońcu farbą ścieli się Bałtyk na nieprzejrzanej przestrzeni do stóp nowych panów i liże im z radością stopy. Cieszy się poczciwy brytan, stary Bałtyk, że go z Koszalina odwiedzają goście. Widzi flagę biało-czerwoną, co z góry Chełm i baszty jej nad krajem powiewa. Uroczysko Białoboga, później las kultu Marii szumi stuletnimi buki, że zawładnął nim znowu lud ze szczerpu Pomorza, lud słowiański, przyrodzony jego król i pan.

Stanisław Helsztyński

Wszystkie wydawnictwa, nadsyłane do redakcji, będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

MARIA KURYLUK

Spotkania z Niemcami

Po raz pierwszy w życiu jestem nad morzem. Stojąc na jego wybrzeżu, zanurzam stopy w ciepłym piachu, patrzę.

Sądziłam, że wrazenie będzie potężne. — Wielka sadzawka. — To Bronia, nie tracąca nawet tutaj sceptycznego wyrazu twarzy, wyrzekała te słowa podnosząc brwi i brzdącąc czoło. Wiatr uniósł te okrucy ludzkiej mowy, szum morza je porwał, unicestwił. Tutaj w Sopocie, morze widziane z ogrodu zdrojowego, rzeczywiście nie jest wielkie.

Szum morza! Będąc dzieckiem chodziłam często do jednej z naszych sąsiadek, której nie znośłam, tylko po to, by móc przyłożyć do ucha dużą, piękną muszlę o wnętrzu różowym jak mięso łososia. Pchchch, chchch, sss. Podniecona wsłuchiwałam się w ów tajemniczy szmer. Wracając do domu i prosiłam matkę, by opowiadała o morzu. Bo tyle już wiedziałam, że gdzieś jest olbrzymia woda i że tam „pływają“ takie cuda.

Osobliwe było to opowiadanie prostej kobiety, która nigdy morza nie widziała. Nie miała wyobraźni i powtarzała zawsze tę samą historię wycieczną w starym kalendarzu o wielorybach i o „tych babach, co ogon mają zamiast nóg“ i tylko na nieszczęście okrętom na morzu się pojawiają. Była to cała jej wiedza o morzu. Jeśli matka w takich chwilach nie miała pilniejszej roboty — zawsze bowiem pracowała, rzadko odpoczywała — bywało, że się zamyśliła. — Mówią, że ono jest bez początku i bez końca. — Patrzyła przed siebie. — Tego zrozumieć nie mogę. — Co to znaczy, mamgo? — pytałam zawsze. — Ażeby ją, dziecko, wiedziała. Mówiłam ci przecież, że sama nie rozumiem... — rzekła i zamilkła. Raz, pamiętam, matka dłużej aniżeli zwykle zastanawiała się nad tym co powiedziała. — Jak to może być — „bez początku i końca“? Tak jest tylko w modlitwach, o Bogu. — I spostrzegłszy palącą się żądę w mych oczach, by właśnie o nim wiedzieć więcej, burknęła:

— No, odcep się już. Zawsze łazisz gdzie nie trzeba.

Westchnęła głęboko. Często tak wdychała. W miarę jak dorastałam i jak wzbierała we mnie żądza wiedzy, rozumiałam co owe westchnienia znaczyły: — O Boże, jacyśmy ciemni, ciemni...

I tak powstała jedna z mych tęsknot. Nie mogłabym jej nazwać „tęsknotą za morzem“. Była bowiem czymś o wiele, wiele szerszym: gdzieś jest wielki świat, panie piękne, złotowłose i takie „z ogonem“, gdzieś są tajemnicze lasy, gdzie żyją cudne papugi, które się zna tylko z obrazków, gdzieś dzieją się niesłychane, niepojęte sprawy i szumi morze, co jest „bez początku i bez końca“.

Stoję teraz nad tą wielką wodą. Wsłuchuję się w szum morza, jak kiedyś w dzieciństwie wsłuchiwałam się w szum mąszi.

Nie lubię hałasu, łoskotu, szum morza to co innego. Jak pod wpływem muzyki, tworzą się we mnie, rozwiązują problemy. Można by godzinami leżeć w piachu i słuchać.

Gdyby właśnie nie dokonywały się na pewnej przestrzeni świata, która nazywa się Polską, tak wielkie, historyczne wydarzenia, które marzyć i odpoczywać nad polskim morzem nie pozwalają...

„MAN MUSS GEHORSAM SEIN!“

Siedzę w ogrodzie zdrojowym, który, jak wiem z opowiadania wiarogodnych ludzi, kiedyś był utrzymywany wzorowo, teraz jest zaniedbany i służy za pastwisko. Mam nadzieję, że Zarząd Miejski miasta Sopotu znajdzie w niedalekiej przyszłości czas, by zająć się tą sprawą.

Na skwerze dwaj chłopcy pasą krowy. Od morza zbliża się jegomość w spodniach kąpielowych, podtrzymując różowo błyszczący jak u wieprzka a o nieco wypukłej linii brzuch. Jest już tak blisko, że dostrzegam jego chwytne, tańczące kroki. Twarz ma nalana, oczy duże, wypukłe. Zbliża się do krowy. Kleka przed nią. Chłopcy odwracają się chcąc ukryć śmiech. Wnioskuję z tego, że są Niemcami. Dziecko niemieckie śmiało by się na ten widok w żywą twarz.

Tłusty jegomość uznał widocznie, że dość ubóstwiania krowy, podnosi się z kolan, obejmuje krowę w szyję, całuje ją niby uroczą pannę w pysk, po czym bez słowa bierze za łańcuch i ciągnie za sobą. Chłopcy przestają się śmiać — jegomość oddała się z krową w kierunku morza. Zrywam się, ciekawa dalszego ciągu.

Jeden z chłopców — ma twarz przemiłą z czupryną spadającą na czoło — zbliża się do mnie. Musiał dostrzec, że patrzę na niego z przyjemnością, bo śmiało przemawia do mnie:

— Was tun? Kann ich nachlaufen und ihm die Kuh wegnehmen?

Boi się trochę. Może tamten mu coś zrobi? Chłopak ma piękne oczy. Zrenice koloru błękitnego na miał sztuczne szkła, rzęsy długie, gęste i czarne.

Odpowiadam poważnie (trudno być oschłym na widok ładnego dziecka):

— Tak, możesz to uczynić. A czyje są krowy?

— Die gehören einem polnischen Wirt. Wir müssen sie hüten.

Chłopak puszcza się biegiem. Idę za nim. Krowa, która wraz z jegomościem zniknęła już za wydmami piachu, jest znów w orbicie naszego widzenia. Jegomość usiłuje ją wciągnąć do morza. Nie odbywa się to bez czułych gestów. Mimo to zwierzę ryczy wniebogłosy. Plaża jest zupełnie pusta.

Stoję o parę kroków za chłopcem. Stwierdzam, że zaszła w nim nagła zmiana. Czyżby już się nie bał?

Krzyczy do jegomości patrzącego nań idiotycznymi oczyma:

— Geben Sie die Kuh her, hören Sie!

Tamten wcale nie słucha. Znowu kleka przed krową i czule zachęca ją do wykapania się w morzu.

Nim się obejrzałam — w opalanej pięści chłopca błysnął nóż.

— Gibst du die Kuh, herste?

Zmienił ton.

Robię jeszcze dwa kroki w przód.

Chłopak trzyma nóż z tyłu, ukrycie i chytrze jak zbrodniarz. Co on zamierza zrobić?

Nagle się odwraca. Spostrzegł mnie. Szkarłatny rumieniec okrywa jego twarz i szyję, ale wnet chłopak błędnie, zbity z tropu. Reka jego trzymająca nóż wsuwa się powolnie do kieszeni spodni.

Interweniuje. Od jegomości porządnie jedzie wódka. Zagaduje go uprzejmie, że bardzo mi przyjemnie poznać takiego miłośnika zwierząt, bo ja również itd. Wynik — pomysłny. Jegomość sam odprowadza krowę na pastwisko (tzn ogród zdrojowy).

Siadam znowu na ławce. Chłopak udaje, że nie się stało i jakoś zanadto głośno — w porównaniu z poprzednim zachowaniem się — rozprawił ze swoim towarzyszem.

Przywołuję go.

Zbliża się wolnym krokiem. Znowu błędnie — Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Co robiłeś w Hitlerjugend?

Szkarłat rzuca się na jego twarz.

— Ich habe der Hitlerjugend nicht angehört. — Widać, że kłamie.

Nie reaguję na tę odpowiedź, pytam dalej spokojnym głosem:

— Jak ci się podobało w Hitlerjugend?

Chwila milczenia. Potem:

— Ich hab mich dort schlecht gefühlt.

Opuszcza głowę.

— Daj nóż.

Postuluję, bez zawahania wyjmuję fiński nóż i podaje mi go.

— Co chciałeś zrobić?

Unika mego wzroku. Po chwili:

— Angst wollt ich ihm nur einjagen.

— A dlaczego chciałeś go nastraszyć? Widziałeś przecież, że był pijany. Dlaczego mówiłeś do niego per ty?

Chłopak czuje, że nie sposób uniknąć odpowiedzi. Podnosi głowę i znowu śmiało:

— Nas tak uczono, że tak trzeba z Polakami.

— I jak myślisz, było to słuszne?

Chłopak patrzy mi badawczo w oczy. Nie widzi w nich nienawiści, widzi tylko powagę. Decyduje się na odpowiedź:

— Man muss gehorsam sein. Mutter sagt uns das immer.

Bierze mnie nagle złość, tracę cierpliwość. Nie ja będę mu mówiła, jak trzeba, co złe i co dobre, nie ja przecież będę go wychowywała. Pójdzie sobie wnet do Niemiec, a tam go już nauczą.

Nauczą?

Nauczą — nowego posłuszeństwa? O, nie trzeba. Niemcy to posłuszny naród.

Przeobrażą ich dusze?

Jeśli naród sam się do tego nie zabierze...

Kiedy wróciłam do domu, noża w mojej kieszeni już nie było. Była natomiast dziura, przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

przez którą wyleciał.

nin — portret Stalina. Wokoło — czerwone chorągiewki.

W ogóle czerwieni jest dużo. Każdy wagon jest nią udekorowany, czerwona wstążeczka tkwi w kłapie niejednego surduta, niejednego damskiego płaszczka.

Kierownik transportu musiał dostrzec moje zdumienie, spieszy bowiem z wytłumaczeniem:

— To jest transport Niemieckiej Partii Antyfaszystowskiej.

Patrzy mi badawczo w oczy. Czy te magiczne słowa wywarły wrażenie?

Na torze z prawa stoi długi sznur czerwonych wagonów towarowych. Drzwi wagonów są szeroko otwarte, upłyne jeszcze sporo czasu nim transport ruszy. Przy drzwiach spuszczone ruchome schodki.

Na torze z lewej strony stoi kilka wagonów osobowych w oknach dużo dzieci — czyste, ładnie uczesane.

— To jest wagon artystów-antyfaszystów — tłumaczy kierownik transportu.

Kiwam głową, nie nie mówię. Ruszam do wagonów z prawa.

Idę od wagonu do wagonu. Są czysto wymiecione, jest ich również odpowiednia ilość, by ludzie w nich mogli swobodnie się poruszać. Prawie w każdym wagonie znajdują się łóżka polowe, które ci wyjeżdżający przytłaczali tu dla wygodniejszej jazdy. Najwięcej jest kobiet, młodzieży i dzieci. Nie brak jednak i mężczyzn.

Zdumiewa mnie wielka liczba tych gdańskich antyfaszystów. Skąd się nagle wzięli?

Od tego pytania zaczyna się rozmowa z Niemcami. Na tym dworcu, w obliczu tych czerwieni umajonych wagonów i Niemców poruszających się swobodnie wśród żołnierzy polskich i czerwonarmistów, opanowała mnie dręcząca myśl.

Kierownik transportu zapytuje, czy chce, żeby mi odpowiadał po niemiecku, czy po rosyjsku. Mówi równie dobrze po rosyjsku jak po niemiecku.

— O, — powiedział — gdzie się pan nauczył tego języka?

— Rodzice moi byli Niemcami, ale żyli w Rosji. W czasie rewolucji 1918 roku dostaliśmy się do Polski. Później osiedliliśmy się w „Danzig“.

— Uciekliście?

Czy mi się to tylko zdaje — kierownik jest zaskoczony moim pytaniem, które rzuciłam mimochodem — jakaś niepewność maluje się w jego oczach. Odpowiada:

— Nie, nie. Ja nie byłem białogwardystą. Ani ja, ani mój ojciec. Po prostu zawierucha wojenna. Völkerwanderung.

Nie pytałam go o to.

— A teraz — dodaje — jadę do Niemiec. Do ojczyzny. Proszę pomyśleć — nigdy tam nie byłem.

Ma kędzierzawe włosy, nieco wystające jak u ludzi wschodu kości policzkowe. Na Niemca nie wygląda. Czyż oni wszyscy stojący tu wokoło mnie wyglądają na potomków tej ponoć wspaniałej rasy, której czystość, według teorii Alfreda Rosenberga, wywodzi się od Germanów? Cóż za straszny w swych konsekwencjach mit, ta „Rassentheorie“ krwawej spółki Hitler-Rosenberg! I tylko w takim narodzie jak Niemcy mogła powstać tak perfidnie rozbudowana teoria o wyższości rasy germańskiej.

Powiadam, że tylko w niemieckim narodzie. Który naród jeszcze był tak predestynowany do przyjęcia hitlerowskiej ideologii? Który jeszcze naród posiada taką mitologię jak Niemcy? Czym jest saga o Nibelungach? Opiewa się w niej zbrodnia, krew i zemsta. I na tej mitologii, na sagach o wielkim, bohaterskim Hagenie, o mściwym Krynildzie wychowywały się od wieków niemieckie dzieci. I nie było nauczyciela czy wychowawcy, który by powiedział, wytłumaczył niemieckiemu dziecku: widzisz, ten Hagen to wcielenie zła, okrucieństwa. Nosi wszelkie cechy bestialstwa. Jest szatanisko przebiegły. Niewinniego Zygryda morduje, kiedy ten bez zbroi, nachylony nad źródłem pokrępa się wodą. Ażeby Krynildzie jeszcze bardziej załamać, kradnie jej skarb zdobyty przez Zygryda w krainie Nibelungów i topi go w Renie. W temiu tylko wiadomym miejscu. Ten sam Hagen nie waha się odwiedzić Krynildy, kiedy w żalobie pogrążona siedzi nad katafalkiem Zygryda. Przyszedł „złożyć jej kondolenie“. Mitologia niemiecka głosi, że kiedy Hagen przystąpił do zmarłego Zygryda, rany jego zaczęły krwawić na nowo. Hagen jednak nie zachwiał się ani na chwilę.

Jak interpretował nauczyciel, wychowawca ludu niemieckiego, ponurą postać Hagena von Tronje? Hagen kłamie. Kłamie tak oczywiście i niedwuznacznie, że aż to rzuca się w oczy. Nauczyciel tłumaczył niemieckiemu dziecku, że bywa szlachetne kłamstwo, że Hagen wszystko co czyni, czyni w imię wyższej prawdy i dlatego jest symbolem „des Urheldentums“. Czy kiedyś zanalizowano przed dzieckiem niemieckim ową postać mitycznego germańskiego zbira? Co to była za „wyższa prawda“? Tej prawdzie było na imię: wier-

ność królowi, wierność swemu panu Guntherowi-królowi, Gehorsam dem König, dem Herrn über Leben und Tod. Czy to nie przypomina Hitlera i kliki, którą rządził? Ten Hagen — czy to nie prototyp tego esesowca, którego żadne ludzkie cierpienie już wzruszyć nie potrafi?

Owa wierność, „das treue deutsche Herz“, jak ją opiewali poeci niemieccy, tak fałszywie przez nich i przez Niemców pojęta, wierność, która wykoszła się w najniższej pojętej ślepej posłuszeństwu — czyż nie stała się i tym razem tragedią narodu niemieckiego? Bo jest rzeczą niewątpliwą, że mamy tu do czynienia z narodem tragicznym. Naród o starej, wielkiej kulturze, który z pojawieniem się na arenie historii Adolfa Hitlera, znów posłuszny, przyjmuje ideologię hitlerowską i własnymi rękoma wyrąbauje otchłań, w którą chcąc stoczyć inne narody stacza przede wszystkim siebie. Czyni to z całą świadomością, może i ze strachem w sercu, ale posłuszny rozkazom Führera.

Krymhilda, owa przed zamążpójściem słodka, pełna cnót królewna, która mszcząc jednego jedynego Zygryda tworzy tak potworną kaźnię; giną w niej wszyscy jej bracia, wszyscy mili i bliscy jej sercu przyjaciele, ginie cały dwór królewski Gunthera i jej drugiego męża, króla Etzla. Czy ta Krymhilda nie przypomina niemieckiej dziewczyny, das tugendhafte Gretchen, która idzie w służbę Führera, jest SS-Frau w obozie koncentracyjnym? Trzyma pejsz w ręku i okłada nim kobiety i dzieci?

Jak Krymhilda wykonała ów szatański plan? Od lat żyje w nieprzyjaźni ze swym bratem Guntherem, królem Burgundii, na którego dworze żyje straszny Hagen von Tronje. Krymhilda rodzi syna. Jego narodziny są pretekstem do zaproszenia Gunthera i dalszych braci królewskich, jego świąty. — Chcę się z wami pogodzić — zawiadamia podstępnie Gunthera — przybądźcie wszyscy na mój dwór, będziemy wiece się wesołi.

Giną wszyscy z wyjątkiem kapelana. Mordują się wzajemnie, ginie również Hagen, ale przed swą śmiercią zetnie jeszcze główkę synkowi Krymhildy.

Hagen leży już w ranach śmiertelnych, Krwiożerca Krymhilda nachyla się nad nim i zapytuje z szalonym błyskiem w oku: „Powiedz, gdzie ukryłeś skarby Nibelungów?“ Umierający Hagen śmieje się szatańsko: „Das sollst du nimmer wissen, grimme Königin!“

Chciwa i zachłanna Krymhilda! Nawet o obliczu morza krwi myśli o swym skarbie. Hagen, z którego serca wydobywa się ostatnie tchnienie, nie wyda tajemnicy skarbu, dla samej chciwości tylko.

Byłoby naiwne, gdybym chciała twierdzić, że Niemcy dlatego tak upadli, bo mają taką mitologię. Nie to bowiem decyduje o losach narodu. Jednak stosunek, jaki wpajano dziecku niemieckiemu do potworów mitologii germańskiej, stosunek pełnej aprobaty — wpajał również w duszę Niemca ukrytą krwiożerczość, nienawiść, szalalność.

Dzisiaj Niemcy znów są posłuszni.

I dlatego...

Jeśli na konferencjach Wielkiej Trójki zostało postanowione, że naród niemiecki nie zostanie wyniszczony, że ma prawo do kulturalnej odbudowy i że będzie mógł wejść w skład rodziny narodów młujących pokój — to w wytyczeniu dróg odbudowy kulturalnej narodu niemieckiego — i co z tym idzie w parze, odbudowy człowieka niemieckiego — winna brać udział nie tylko garstka niemieckich demokratów, ale wybitne jednostki z całego świata, wszyscy ci ludzie, którzy znają psychikę niemiecką, kulturę i obyczaje tego narodu i którzy szczerze i uczciwie pragną, by trwały pokój zapanował na świecie.

Trzeba ułożyć plan reformy szkolnictwa niemieckiego. Żeby niemieckie dziecko zapoznające się z „Nibelungami“ nie ulegało ich krwawemu czarowi, żeby miało odpowiedni humanistyczny stosunek do głównych postaci z „Hermannschlacht“ junkierskiego pisarza niemieckiego Henryka von Kleista, by wiedziało, co inni wielcy cudzoziemcy, jak np. Rosjanie Aleksander Herzen, sądzili i pisali o Goethe, którego w Niemczech wyniesiono na wyżyny nietykalnej olimpijskości. Aleksander Herzen, człowiek o gorącym sercu (któż jeszcze tak pięknie pisał o Polakach, któż jeszcze poświęcił tyle stron swej publicystyki sprawie Polski?) pisał o Goethe, że „chylł czoła tylko przed Goethem-pisarzem“. Trzeba, by Niemiec zachwycający się „Heiderölein“, później „Wértherem“, a jeszcze później „Faustem“ i „Dichtung und Wahrheit“ — wiedział również jaki stosunek miał ten wielki Goethe, ale zimny człowiek do Wielkiej Rewolucji Francuskiej. I że w „Italienreise“ bardzo fałszywie, „ba, nawet naiwne są jego poglądy na sztukę malarską.

Trzeba obudzić krytyczne myślenie w tym narodzie, który krytycznie myśleć nie umie.

Gigantyczne zadania czekają ludzi dobrej woli. Wielkie pole działania ma przed sobą wychowawca ludu — nauczyciel, profesor niemiecki. Ale skąd wezmą się rzesze mądrych, uczciwych Niemców, nieskażonych przez reżym hitlerowski?

Jest to poważna kwestia. Od jej rozwiązania zależeć będzie bezpieczeństwo świata i przyszłość Niemiec, będzie zależało, czy „kiedyś naród niemiecki będzie mógł znaleźć swe miejsce między pokój młującymi narodami“.

W organizacji „Deutsche Antifaschistische Partei“ kryje się zapewne niejednen hitlerowiec, ale ufam, że starzy, wypróbowani demokraci, niezakłamanymi niemieccy bojownicy o godność człowieka wezmą kierownictwo tej organizacji w swoje ręce i przeprowadzą żelazną selekcję.

Pytam rozmówcę o tę ich gdańską komórkę partii antyfaszystowskiej. Skąd się wzięła wielka ilość jej członków, co robili za rządów Hitlera.

Kierownik odpowiada, że za antyfaszystów uznano b. komunistów, socjalistów, socjaldemokratów itd., którzy nie załamali się, ale przystojnymi pozostali do zmierzchu hitlerizmu. Są tutaj nawet tacy, — powiada — którzy siedzieli w obozach koncentracyjnych. Poza tym do partii antyfaszystowskiej mogą należeć ci wszyscy, którzy nie należeli do N.S.D.A.P., do N.S.V., do N.S.-Frauenshaft i innych organizacji o charakterze partyjnym.

— Więc aż tylu jest tych „przystojnych“ ludzi? — powiadam. — To niemożliwe. Co oni robili przedtem, gdzie byli, kiedy inne narody stawiały zacięty, nieraz z góry na klęskę i zagładę skazany opór hitleryzmowi?

Wskazuję na młodzież i dzieci. Czy te tu nie należały ani do HJ, ani do BDM, czy te małe dziewczynki i chłopcy nie byli „Pimpfami“ i czy ich nie uczono, że tylko „Deutschland, Deutschland über alles in der Welt“ i że Polak to jest „der Dreckpolacke, das polnische Schwein“, którym się gardzi?

Rozmówca, kierownik transportu, ma nieco zakłopotaną minę.

Z grona otaczających mnie Niemców przeciska się wysoki mężczyzna. Ma jakąś przykrą twarz. Może to ta jego zielonkawa cera? Nosi okrągłą granatową czapkę z daszkiem. Takie czapki noszą niemieccy robotnicy portowi. Kiedyś, ludzie w tych czapkach, ludzie z portów Hamburga, Bremy, Kilonii stanowili chlubę międzynarodowego proletariatu.

— Musimy naszej młodzieży pozostawić czas do wewnętrznego oczyszczenia się — rozpoczyna. — Seelische Bereinigung. — Mówi, że trudno sądzić młodzież, której rodzice prawie zawsze zmuszeni byli pod groźbą obozu oddawać swe dzieci do organizacji hitlerowskich. Teraz jednak weźmie się te młodzież w żelazną, nową dyscyplinę i otoczy się ją specjalną opieką.

Mówi o sobie. Jest komunistą. Za przynależność do KPD został zesłany do obozu koncentracyjnego, ale wrócił po roku i pracował dalej jako robotnik portowy. Antyfaszyści za czasów Hitlera żadnej akcji rozwinąć nie mogli — „der Terror war zu gross“.

Przerywa mu mężczyzna, wyglądający na lat 65. Zwróciłam już poprzednio na niego uwagę. Twarz ma pooraną głębokimi bruzdami, a oczy takie, że trudno oderwać od nich spojrzenie. Jest w nich przede wszystkim ogromne znużenie.

— On komunistą, antyfaszysta! — zaczyna twardym, podnieconym głosem. — On śmie mówić, że jest człowiekiem, który się nie splamił. Umgefallen bist du, załamałeś się — zwraca się do tamtego, wysokiego — załamałeś się i synpałeś całą naszą komórkę!

Okazuje się, że stary był przez wiele lat kierownikiem nielegalnej komórki KPD na terenie Gdańska i okolicy. Twierdzi stanowczo, że tamten wyspał wielu towarzyszy.

Wysoki robi się na twarzy jeszcze bardziej szarozielony. Zaczyna się bronić, krzycząc:

— Kłamiesz! — nawołuje jakichś ludzi — oni poświadczą kim ja jestem, jak się zachowywałem, a teń tu — wskazuje na starego komunistę — der ist ja verrückt, wariat, głupstwa plecie!

Na to znów stary. Mówi bez patosu, zwyczajnym, spokojnym głosem:

— Siedziałem lata w obozie koncentracyjnym, ja i wielu naszych towarzyszy. Tobie mamy to do zawdzięczenia. Ale ani się tamnie załamałem, ani tamnie zgłupiałem, jak twierdzisz. Ta pani tu — wskazuje na mnie —

nie przyszła nas sądzić. Jedziemy teraz do Niemiec. Tam się rozprawimy. Jeśli mamy jeszcze kiedyś coś znaczyć jako naród, jeśli mamy się podnieść z tego błota — to tacy jak ty nie mogą być między nami.

— On całkiem zwariował — krzyczy rozpaczliwie wysoki w okrągłej czapce. — Mein Mann war umgefallen, na so was! — drze się na starego żona oskarżonego.

— On mówi sprawiedliwie, on mówi prawdę — odwracam się do głębokiego głosu: za moimi plecami: Znów stary mężczyzna. A może mi się tylko tak wydaje? Mógł wiele przeżyć... Białe rzyso na chudych policzkach — nie golił się przez kilka dni. — To jest czysty partyjniak — mówi o byłym kierowniku nielegalnej komórki. — Byłem z nim w obozie. Takich u nas jest mało. Większość zdradziła partię. Tamten stary to nasz tutejszy przywódca — er war und blieb Genosse. Był i pozostał towarzyszem. Ten tu — w kierunku wysokiego — ten był kiedyś towarzyszem.

Zaczyna się ruch. Robi się gorąco. Ludzi wokoło mnie coraz więcej. Proszę o spokój i usunięcie się gapiów.

Mówię do dwóch starców: czemu nie podaliście tych danych kierownictwu transportu, czy tej partii antyfaszystowskiej?

Były szef komórki machnął ręką. Co to machnięcie może oznaczać? Po chwili mówi: — O tym opowiem wszystko w Niemczech, an der dafür befugten Stelle. Tutaj to przecież sensu nie ma i nie ma z kim o tym gadać. Odchodzi.

Rozglądam się za kierownikiem transportu. Ten gdzieś znikł.

Jeden z mężczyzn, świadek tej sceny, również robotnik portowy zwraca się do mnie tonem perswazji. — Dobry chłop stary, ale bajdurzy. Nie chcę bronić tego towarzysza — mówi o wysokim, stojącym jeszcze ciągle obok — ale skąd tamten może wiedzieć, kto wyspał, niech pani powie?

Uważa mnie za naiwną. Nie odzywam się słowem.

Jak widma stają nagle przede mną nasi wspaniali towarzysze z tajnej organizacji, którzy zginęli z denuncjacji prowokatora. Siedział w samej radzie naczelnej organizacji. Jego, który zniszczył trzydzieści najlepszych istnień ludzkich, ręka sprawiedliwości nie dosięga. Po dokonaniu dzieła zniszczenia zwił z naszych szeregów bez śladu.

Odchodzi od grupy otaczających mnie Niemców. Naprawdę nie mam ochoty bawić się w sędzię w sprawie, która jest tak pogmatwana. Czy tamci „an der befugten Stelle“ rozsuplają splątany kiebek heroizmu, cierpienia, prawdziwego oddania partii, zdrady, upodlenia, szpiclostwa?

Zbliżam się do ostatniego wagonu. Na ziemi materace, na nich rozpostarte prześcierała. Leżą trzy staruszki. Obok siedzi na tobołku starzec. Poprzez chmury słońce zsyła gorące promienie, upał jest dotkliwy. Duszą. Jednej ze staruszek upadła głowa w tył na szynę. Poduszka zsunęła się na bok. Proszę młodą Niemkę, której łatwiej niż mnie zbliżyć się do staruszek, by jej podniosła głowę i podsunęła poduszkę. Spełnia moją prośbę. Staruszka podnosi wychudzoną, żółtą dłoń i kładąc ją nad oczyma otwiera z trudem pomarszczone, czerwonymi żyłkami znaczone powieki i mglistymi oczyma patrzy na mnie.

— Was gibt es doch für gute Polen! — Westchnienie.

Obok niej leżą chora patrzy na mnie zczliwym okiem. Nie jest jeszcze tak stara jak mi się zdawało. Ma 55 lat. Mówi zaledwie parę zdań, ale w nich widzi się całe jej życie. Byli zawsze biedni. W domu dużo dzieci. Ojciec i matka wcześniej ich odumarli. Zostali sami. Ona, najstarsza, zarabiała na roźdzeństwo i starała się, by na dobrych ludzi wyrosli. Niestety — mówi cicho — nie mogę powiedzieć, że tak się stało. — Była krawczynią i do tej pory pracowała w tym zawodzie. Jednak często chorowała, szczególnie na

stawy. A teraz, to ją już zupełnie rzuciło... „Widzi pani, nawet ruszyć się nie mogę. Przywiózł mnie tu na noszach“.

— Jak to, nie mogła się pani leczyć?

— Dawniej, to jeszcze jakoś szło. Człowiek był młodszy i też inne czasy były. Ale odkąd ten Hitler zaczął nami rządzić, to tylko ci coś mieli, którzy do jakiegoś tam jego związku należeli. Ja tań do nich nie poszłam i nie od nich nie chciałam. To przecież temu jednemu człowiekowi mamy to wszystko do zawdzięczenia. Der hat ja den Teufel im Leibe. Wszystkich nas unieszczęśliwił.

Czworo staruszków zgodnie przytakuje głowami. Tak, tak, na stare lata, tułaczka i to z powodu takich łajdaków. Mówią szeptem, przykucnęłam obok nich i słucham. Starzec, który siedzi na tobołku, ma — 97 lat. Został sam. Dzieci jego, synowie i córki gdzieś rozproszeni na frontach, w Niemczech. Czy żyją? Nie wie. A do kogo jedzie? „Może kogoś znajdzie, droga pani — odpowiada łagodnie — a jeśli nie, Bóg, który do tej pory pozwolił mi żyć, nie opuścił mnie przecież w mych ostatnich godzinach“. Opowiada, że nawet ciężko mu stać odejść, zostawia tu dużo dobrych znajomych, którzy szczególnie ostatnio bardzo go wspomagali, bo zawsze z nimi dobrze żył.

— Oni też wnet stąd będą musieli wyjechać — tłumaczy.

Starzec uśmiecha się. — Oni? Nie, pani. To przecież Polacy, gute Menschen.

Pytam się ich, jak się tutaj czują na stacji, czy im czegoś nie trzeba.

O nie, im wcale dobrze. Położono ich tu na ziemi, bo mają przyczepić specjalny wagon dla chorych, to znaczy dla nich, bo w tym transporcie na razie więcej chorych nie ma.

Liczy lat 40. Nazywa się Max Semraum, urodził się i pracował w Gdańsku. Mówi, że od 1925 roku należy do Komunistycznej Partii Niemiec. Przyjście Armii Czerwonej oznaczało jego oswobodzenie z obozu w Stutthofie. Jest to pierwszy Niemiec napotkany przeze mnie po kapitulacji, który mówi, że jest szczęśliwy.

— Jestem szczęśliwy, bo znów jestem wolnym człowiekiem.

Ani te, ani inne jego słowa nie potrafią rozproszyć mojej nieufności. Zbyt wielkie są nasze urazy.

Słucham co mówi o Polakach. Wyraża się o nich jak najlepiej. Jest również robotnikiem portowym. Jednak z żalem mówi o tym czasie, kiedy hitleryzm zagrażał Polsce i ówczesnemu Wolnemu Miastu Gdańskowi. Wówczas kiedy robotnicy niemieccy zrzeszeni w wolnych związkach zawodowych w Gdańsku, oraz niemieccy demokraci i komuniści demonstrowali przeciw niemieckiemu faszyzmowi — „Polacy nie szli z nami, ale byli przeciwko nam“. Jednak — mówi — głębokie zachodzą różnice między narodem polskim a niemieckim. „Myśmy demonstrowali, a co później przyszło? — Gorycz w jego słowach. — A Polacy!... To naród! — Przykró mi. Nie wiem, czy mowi szczerze, czy chce mi kadzić. Ale na co by mu się to zdało? Jedzie w inne strony, kto wie czy się kiedykolwiek zobaczymy.

— Mój syn, jednak, 15 lat, zginął w obozie. Mnie w tym czasie trzymali w obozie w Stutthofie. Syn nie chciał wstąpić do Hitlerjugend. Zabrali go do Gauerziehungslager Neustadt. Tam trzymali go dość długo. Chłopak jednak do Hitlerjugend nie chciał wstąpić. Zabili go.

Może naiwne i nietaktowne są te moje słowa, a jednak nie mogę się powstrzymać: — Jeśli to jest prawda, to pięknie umarł wasz syn.

Chodzę tutaj po tej stacji, jestem tutaj już od kilku godzin, rozmawiam z różnymi Niemcami. Ale ani jeden z młodych, ani jeden chłopak czy dziewczyna, ani jeden młodzieniec nie odezwali się słowem, kiedy się mówię o czynach hitlerowskich. Milczą.

— Tak, ma pani rację. Lepiej, że umarł, aniżeli miał zstać po powrocie z obozu hitlerowca we własnym synu. Ale chciałem mówić o innej sprawie. Właśnie o tej różnicy zachodzącej między nami a wami. — Woła jakąś kobietę, która się zbliża. Ma zniszczoną, żółtawą cerę, jasne szare oczy. Przedstawia ją: żona. — Opowiedz, jak to było z tym polskim dzieckiem w obozie w Neustadt.

Krótką historią. Ich syn zaprzyjaźnił się w obozie z polskim chłopczykiem, liczącym lat 8. Dowiedziała się o tym, kiedy odwiedziła syna w Gauerziehungslager. Syn w gorących słowach mówił o swym małym przyjacieliu i raz po raz powtarzał: „Mutter, das ist ein Held, der Janek“. Opowiedział również matce, dlaczego młody dostał się do obozu. Gdzieś na Pomorzu, ojciec Janka, chłop, miał swoje gospodarstwo. Niemiec mu je odebrał, a ojciec i Janek musieli dlań pracować. Janek pasł krowy, jednak ojca Niemiec bił często do krwi. Pewnego razu doszło do kłótni między ojcem Janka a Niemcem. Skutek był taki, że ojca Janka osadzono w obozie, gdzie zginął. Kiedy Janek dowiedział się o śmierci ojca, podpalił stodoły. Spłonęły doszczętnie, ogień się rozszerzył na dalsze zabudowania gospodarskie, jednak Niemcy ugasili. Uciekającego Janka złapano i przewieziono do Gauerziehungslager Neustadt. Semraumowa opowiada, że nigdy nie zapomni tej sceny: poprosiła syna, by zawołał matką. Chciała mu wetknąć trochę słodyczy. Syn jej przyprowadził towarzysza niedoli. Obok jej syna Janek wydawał się bardzo mały i Semraumowa rozczuliła się na jego widok. Po-

JALU KUREK

WARSZAWA

Balkon, to życie, związane z przestrzenią, mówiła Ewa, rozplatając włosy.

Na czwartym piętrze zawisł balkon, oderwany od domu. Na nim ptak grzy do śpiewu zaklinał.

Dom uciekł, zdmuchnięty, lecz miejsce po nim stoi. To miejsce jeszcze ciepłe. Skąd znam tę melodię? Cesałam włosy w jej takt, góry zrywały się z posad, gdy śpiew wихrowy armat niósł się ulicami.

On blask uczynił, on mnie dokonał: nieznaną plak na nieznanym balkonie. Nad kupą cegieł rozwalonych słyszę jego pieśń tęskną za domem, który spod nóg mu uciekł.

W czteropiętrowej pustce, w pudle powietrza zakotwiczony u zenitu balkon chybczo się od muzyki.

To dawny dom mój tęskni za mymi włosami.

Na próżno ptak grzy śpiewnie urzeka. Na próżno ptak kocha się w rozwianych włosach. Poznają prawdę rządzącą cegłami:

guz opłakuje człowieka.

śpiesznie ją mu coś wciskać w kieszenie spodni, do ręki. Malec wszystko wyrzucił i tylko tyle powiedział: — Nie chcę nic od Niemców. — Dopiero na naleganie syna wziął, ale tylko z jego ręki. Zginął również w tym obozie.

— Widzi pani, — mówi znów Semraun — to są Polacy.

Na to żywo reaguje Semraumowa. W czasie, kiedy jej mąż siedział w obozie, a później kiedy i dziecko jej zabrano, jedynymi przyjaciółmi i ludźmi, z którymi jakoś po ludzku rozmawiać mogła, byli Polacy. Razem handlowali i sobie pomagali.

— A teraz stąd odchodzimy. I tak jest dobrze. Tak, pani nie wierzy w to, co mówię? — Semraun patrzy na mnie przenikliwymi oczyma — Jestem politycznie uświadomionym człowiekiem i rozumiem wszystkie konsekwencje, które wynikły dla Niemców po tej wojnie. Ale ani odrobiny polityki nie ma w tym, jeśli mówię, że dobrze jest, jeśli stąd odchodzimy. Wir gehen aus Danzig raus, weil wir nicht leben können hier, wo es eine Marienkirche gab, die Menschen aufgebaut haben, die keine Faschisten waren, die aber von Mörderhänden zerstört wurde.

Dla artystów niemieckich są specjalne wagony. Osobowe. Jadą wraz z rodzinami, z wózkami dziecięcymi, betami. Kierownikiem tego transportu jest pewien gdański artysta, w sztywnym kapeluszu; w nienagannie odprasowanym garniturze i motylku na jedwabnej koszuli. Tłumaczy mi tak samo, jak tamten kierownik, że wszyscy znajdujący się w tym transporcie artyści są antyfaszystami, chociaż prawie wszyscy grali na scenie, czy brali udział w życiu kulturalnym za czasów Trzeciej Rzeszy. Okazuje się, że do artystów zaliczono nawet chórzystów kościelnych. Kierownik-artysta bardzo się śpieszy i pozostawia mnie samą. Rozglądam się jeszcze trochę po tych wagonach. Dużo dzieci leżących we wózkach, śpiących lub śmiejących się, nad nimi nachylone uśmiechnięte matki...

Tutaj znów zaczynają wokoło mnie krążyć owe złe myśli. Patrząc na te dzieci, na tych ludzi jadących każdy w swoją przyszłość, myślę o tych setkach tysięcy niewinnych ofiar, które jechały na śmierć. O czym myśleli wówczas ci ludzie stłoczeni w wagonach wiozących ich do obozów, co czuli wówczas, odarci z przyjaźni ludzkiej, sami, bezbronni, wlokący tylko za sobą przekleństwo pogardy? Kto napisze kiedyś dramat matki, której dziecko wyrwano z rąk i umieszczono na innym „polu“, w innym baraku? Co myślały dzieci, o czym mówiły z nastaniem nocy, gdy same zostały ze strachem w sercu w groźnym baraku?

Nie. Nie ma odwetu. Niemcy tego nigdy nie zrozumieją, że jakiegokolwiek przykrości, czy nawet cierpienia wynikłe dla nich z tej wojny, którą oni zwinili, nie stanowią tysiącletniej części tego wszystkiego, co przeżyć musieli ludzie i wszystkich narodowości z rąk siepaczy hitlerowskich. Oni tego zrozumieć nie mogą — bo nie cierpieli.

Ani za miliony zamordowanych, ani za tych, którzy wyszli z obozów i z tej wojny z życiem, ale tylko z życiem — nie ma odwetu.

Teoria panowania nad światem, ujarzmienia wolnych narodów, doznała śmiertelnej porażki. Zwycięskie ludy, budowniczo lepsze go życia, wskrzeszą zdeptaną ludzkość, walcząc o pełną wolność i godność człowieka. Hitlerowcy zostaną ukarani, naród niemiecki zostanie.

Nie ma odwetu.

PAN BOBEREK

Okazuje się, że Związek Literatów nie jest właścicielem Dómu Wypoczynkowego Związku Literatów Polskich w Sopocie przy ul. Ks. Pomorskich 29. Właścicielem tego domu jest — p. Boberek. Słuchajcie: w domu tym ukrywa się (a może „ktoś“ ukrywa?) dawny właściciel tego pensjonatu, Reichsdeutscher. Nie opuszcza budynku, nie wychodzi nawet do ogrodu. Można go niekiedy zobaczyć w kuchni, jak je dobre potrawy, na które my sobie pozwolić nie możemy.

Ow tajemniczy Niemiec nie jest już jednak właścicielem nieruchomości, albowiem — on, dobry, szlachetny człowiek — podarował, tak, podarował ją — Boberkowi, dozorczy.

Dziwna sprawa: p. Boberek twierdził, że dom ten podarował mu Niemiec jeszcze w r. 1939. Rzecz jeszcze dziwniejsza: do przyjaciela Armii Czerwonej Niemiec był właścicielem swej nieruchomości i o ile się nie mylę, p. Boberka w tym czasie wcale na widowni nie było.

„Sprawa“ znajduje się u adwokata i czeka na „rozstrzygnięcie“. Do tej pory p. Boberek czuje się jednak właścicielem, nawet tak dalece, że w czasie naszej nieobecności otwiera drzwi poszczególnych pokoi wytrychem. Na nas, przyjeżdżających tutaj na wypoczynek, patrzy krzywym okiem.

To jasne: Niemiec zrobił siuchtę z Boberkiem. Tylko jak? Oto powaga zagadnienia. Kogo ukrywa Boberek i dlaczego? Przecież Niemcy wszędzie poruszają się swobodnie. Dlaczego były właściciel pensjonatu przy ul. Ks. Pomorskich 29 ukrywa się, dlaczego „podarował“ ten dom Boberkowi? Kto jest p. Boberek?

Kiedy opuszczałam Sopot, a było to w drugiej połowie sierpnia, „sprawa“ ciągle jeszcze czekała na „rozstrzygnięcie“ — u adwokata. A obecnie?...

Maria Kuryluk

ARTUR SANDAUER

DIALOGI Z UMARŁYMI

Lubię eksperymenty w lekturze starych autorów. Zamiast wchodzić bezopornie w ich świat, wolę spełniając przestrzenie między wierszami domyślnym tekstem, prowadzić z nimi fikcyjne rozmowy. Ileż to razy chciałbym zagadnąć kogoś z XVIII-wiecznych pisarzy, Woltera, Rousseau, Lesage'a: „Obywatele! Czyście widzieli kiedykolwiek pokój umeblowany?“ I otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, ciągnąłbym niedyskretnie: „A dlaczego nie znać tego w waszych powieściach?“

W pewien zajmujący się krytyką rodak Stanisława Leszczyńskiego? Ale pan zapewne nie wie nawet, o to takiego — realizm?“

„Ale... Wiem doskonale. To ta barbarzyńska szkoła średniowiecznych mnichów, którzy przypisywali abstrakcjom byt rzeczywisty“.

„Wprost odwrotnie. To, o czym pan mówi, nazywamy dziś idealizmem. Być pisarzem-realistą — to umieć narysować środowisko, w jakim żyją bohaterowie; to w nich samych



Dlaczego — pytam — nie spotkać u was choćby takiego zdania: „Pośrodku izby był długi stół, dokoła którego... W kącie piec, na którym...“? Mówicie, że to się samo przez się rozumie? Ale dlaczego nie jest tak u Balzaka? Ach! Wy nie wiecie nawet, kto to taki? To ten przysadzisty brunet, zalecający się opodał, pod mirtami, do cienia hrabiny? Albo u Flauberta? Ale i Flaubert jest wam również nieznanym? To ów olbrzym, który tam, nad Styksem, wymachując rękoma i szarpiąc kono-piaste wasy wymyśla kulturerii podziemnej. Ale — wracając do tematu — dlaczego — mówię — materia waszych utworów jest przejrzysta? Przepraszam, wyrażam się może zbyt zawile. Ale przeszedłem szkołę Kanta i Husserla, od których by wam wosy stanęły dęba na głowie. Wybaczenie tedy pewne niejasności wywołane złym wychowaniem stylistycznym, jakie otrzymałem. Będę starał się o jak największą ścisłość w ramach tj. — o przeklęty żargon dziennikarski — w miarę moich możliwości“.



„Świat wasz — powtarzam — jest jednopłaszczyznowy. Przedmioty dostrzegacie w nim tylko wtedy, gdy są wam potrzebne do akcji. Bohaterowie wasi — to zręczne wycinanki z papieru. Czym jest pański Candide? Argumentem przeciw twierdzeniu Leibniza, jakoby wszystko działa się jak najlepiej w najlepszym ze światów. Nie wchodząc w treść tej, obojętnej już nam dzisiaj dyskusji, muszę stwierdzić, że bohatera swego potraktował pan dość beceremialnie. W rękach pana staje się on beżwolną kukłą, pędzoną beżlitośnie — dla ilustracji filozoficznych — przez lądy i morza. Czy to ma być ów realizm, który tak w panu dziś zachwala

ukazać coś więcej niż wcielenie filozoficznych lub politycznych haseł; to nakreślić rozwój człowieka w czasie. Postaci wasze natomiast pozostają przez cały ciąg akcji niezmienione. Wprawdzie rywal pański — o którym pozwolę sobie żywić korzystniejsze niż pan mniemanie — Jan Jakub Rousseau ukazuje w „Emili“ rozwój swego wychowanka; lecz odbywa się to sztucznie pod wpływem wszczępianych mu przez pedagoga idei, nie zaś na skutek zdarzeń. Niech się pan pocieszy, Janie Jakubie, i pańscy poprzednicy w powieści pedagogicznej, od Ksenofonta do Fénelona, nie spisywali się lepiej. Wszyscyście dostrzegali w człowieku tylko własne tezy. Czy żaden z waszych znajomych nie hołdował jakiejś nieszkodliwej manii, jak zbieranie znaczków pocztowych, tzn. — wybaczenie anachronizm — obrazów lub starych monet? Czemuż nie znajdziemy tego w waszych bohaterach? A wreszcie — co tu ukrywać — i kompozycja waszych opowiadań nie jest bez zarzutu. Stanowią one raczej luźny łańcuch przygód niż

które na próżno usiłowałem wygładzić i podnieść do wymagań naszej publiczności, znajdując pan zarówno akcję trwającą latami, jak rozwijających się w niej bohaterów. Radziłbym panu przeczytać tego mało znanego, choć niepozabawionego talentu autora, który — gdyby miał szczęście urodzić się we Francji — byłby może prześcignął Crébillona ojca. Tam znajdzie pan owe metamorfozy duchowe, których brak panu u nas: hulaszczy, póki był królewiczem, księżą Walii — po wstąpieniu na tron — zmienia się nagle i niespodziewanie w surowego dla siebie i dla innych władce“.

— „Otóż właśnie! Nagle i bez przygotowań! Są skoki, nie ma ewolucji. Między psychologią bez czasu waszych dramatów a czasem bez psychologii waszych powieści zieje przepaść. Dopiero ów wspomniany Balzac zapełni ją, wprowadzając do literatury romansowej jednolitość akcji i komponując ją na wzór dramatu, który ze swej strony poczyni również pewne kroki ku temu zbliżeniu, wyrzekając się jednolitości miejsca i czasu. Bohaterowie powieściowscy przestaną być wcieleniem tez autorskich; zyskają byt samoistny. Opis przedmiotów — zamiast służyć celom akcji — stworzy będzie pewną atmosferę, gdzie człowiek...“.

„Pański barokowy styl, pełen określeń fizycznych w dziedzinie literackiej, nie ułatwia mi zrozumienia pańskich myśli. Mimo to ciekaw jestem dalszych losów sztuki powieściowej, w której rozwoju — być może — niepoślednią odegrałem rolę. Jakkolwiek z trudem, śledzę pańskie wywody. Twierdzi pan zatem, że ów Balzac dokonał w sztuce opowiadania czegoś, nad czym trzy tysiąclecia na próżno się głowili. Doprawdy, mało wiarygodne!“

„Daleki jest od tego, by mu przypisywał geniusz o tyle większy od jego poprzedników. Odkryć dokonał nie on, lecz życie. Kiedyż bowiem człowiek zmienia się naprawdę? Gdy zmienia się jego sytuacja. W waszym społeczeństwie, gdzie granice stanów były nieprzekraczalne, zmiana taka była — poza nielicznymi wyjątkami — niemożliwa. Kto urodził się w mieszczaństwie, najczęściej w nim umierał. Pański Candide, gdy oświadcza się o rękę baronówny Kunegundy, dostaje już na pierwszej stronie od jej ojca kopniaka; podobnym kopniakiem, otrzymanym od jej brata, powieść się kończy. Dopiero Rewolucja Francuska, znosząc ograniczenia stanowe, umożliwiła przemieszczenia społeczne zarówno postaci rzeczywistych jak powieściowych. Bohaterowie Balzaka, zarówno jak współczesnego mu Stendhala, to ludzie, którzy pną się w górę korzystając z świeżo utworowanej ścieżki. Ich metamorfozy duchowe wynikają ze zmiany ich pozycji społecznej. Stąd większa niż poprzednio jednolitość akcji: bohater, zamiast dreptać jak dawniej w miejscu, dąży ku czemuś. Jego ruch społeczny stwarza jedność akcji powieściowej. Podobnie można wytłumaczyć wzbogacenie opisu w XIX-wiecznej powieści; klasa mieszczańska określa się bowiem nie pochodzeniem, lecz stanem posiadania. Dla was natomiast przedmioty mają wartość tylko estetyczną; toteż żaden z nich nie wyrusza w świat bez ozdobnego przymiotnika. Dopiero Rewolucja Francuska, której pan był duchowym ojcem...“.

„Przypisuje mi pan zamiary, jakich nigdy nie miałem. Nigdy nie życzyłem panowania kanałii, która — cokolwiek byśmy mówili — zawsze pozostanie kanałią. Nie wierzę, by przez to, że paru dorobkiewiczów dochrapało się stanowisk wyższych niż im los i urodzenie przeznaczyły, zmienić się mógł w cymkolwiek rozum ludzki, który jest stały w swych prawach i działaniu. Rzymianin czy Pers, Grek czy Francuz — jeśli stosują trafnie zasady myślenia — rozumują dokładnie tak samo. W przeciwnym razie byłoby wiele prawd; ta zaś może być tylko jedna. Pańskie wywody przypominają mi mrzonki owych uczonków, którzy znalazłszy na wierzchołkach alpejskich parę ości rybich, zostawionych tam przez niedbale turystów, wywnioskowali stąd, jakoby morze sięgało niegdyś po szczyty gór, potwierdzając w ten sposób niedorzeczną legendę o potopie. Podobnie pan z kariery paru łyżczków wysnuwa ogólne i daleko idące wnioski. Czyż jest do pomyślenia, aby szanujący się autor — zamiast obiektów szlachetnych i godnych jego uwagi — chciał opisywać chlewy lub stajnie? Z równym skutkiem mógłby mnie pan przekonywać, że dobrze urodzony mężczyzna ośmielił się wyjść na ulicę bez peruki lub szlachetna dama bez koafiury. Nie, miły panie, to wszystko są czcze urojenia...“.

Artur Sandauer

WACŁAW KUBACKI

Pierwszy list z Poznania.

POZNAŃ LEŻY NA ZACHODZIE

Pytasz, Kochany Przyjacielu, o wrażenia moje z Poznania dziwiąc się równocześnie, że tak mało o tym mieście czyta się obecnie w pismach. Masz zupełną rację. Dzieje się Poznaniowi krzywda. Byłe sioło na Warmii, byłe miasteczko na odzyskanym Pomorzu lub osada nad Nysą, nie mówią już o Wrocławiu, Wałbrzychu, Szczecinie czy Jeleniej Górze, przyprowadzają Ministerstwo Propagandy o większy ubytek papieru drukarskiego niż stary piastowski Poznań. Tajemniczy, romantyczny Zachód, świat przygód i nieograniczonych możliwości przesłonił ludziom w ogóle resztę Polski.

Niesłusznie, bo Poznań także leży na Zachodzie. Nie mniej jest zniszczony i nie mniej nieuporządkowany niż inne miasta odzyskane. Poznań nawet dość długo pielegnował ślady wojny na swych ulicach uważając je prawdopodobnie za atrakcję turystyczną, która mu pozwoli wytrzymać ostrą konkurencję, jaką w tej dziedzinie robi taki Wrocław lub Gdańsk. Jeszcze w maju blisko wojewódzkiej komendy Młoci Obywatelskiej, na ulicy Focha, wisiały na sieci telefonicznej ciężkie pogruchothane słupy latarni grożące przechodniom każdej chwili jeśli nie mieczem Damoklesa to w każdym razie maczugą Herkulesa w łeb. Jeszcze w lipcu przed Zamkiem leżały rozbite skrzyżnia z pociskami artyleryjskimi, przy których nieustannie majstrowały chłopczki pod ojcowskim zresztą okiem wojska, które zajmuje Zamek. Po dziś dzień jeszcze na tym samym placu urządzają sobie dzieciaczki karuzelę na obrotowej lufie rozbitego działa niemieckiego grożąc przechodniom porzucaniem gołeni. Za kokietowaniem widza sztafetą wojennym uważam także pozostawienie czołgu na rogu ulicy Zwierzynieckiej i Jasnej, w jednym z ruchliwych punktów komunikacyjnych. Mieszkańcy widocznie uważają, że ten czołg będzie na wieczne czasy stał tramwajem i autem na zawadzie, bo zaczęli na nim malować reklamy! Zdaje się, że gdyby w Poznaniu jakiś roztargniony karawaniarz zgubił na środku rynku trumnę, to zamiast pochować nieboszczyka poprzestano by na umieszczeniu na wieku adresu jakiegoś niedaleko od tego miejsca położonego zakładu, gdzie najtaniej „preżają firany”.

Dość długo też chodziliśmy wązowymi gruzów i omijaliśmy zasypane rumowiskiem ulice, podczas gdy Polacy urządzali pochody i wiece manifestacyjne, folksdeutsche handlowali spokojnie przygotowując się do rozpraw rehabilitacyjnych, które ich mają „porwieć cudem na oczyszczony łono”, a jeńcy niemieccy w obozach z nudów śpiewali od rana do nocy na całe gardło i na całe miasto piosenki hitlerowskie.

Nie brak nam tu także warunków potrzebnych do życia emocjonalnego. Jeszcze w czerwcu jakiś uzbrojony osobnik odebrał studentce naszej na dworcu w biały dzień walizkę, w której wiozła pracę magisterską, tak że rwałym pociągami odjechała, aby pisać na nowo. Z oficjalnej prasy dowiadujesz się zdumiony, że po objęciu mieszkania przyznawanego przez komisję mieszkaniową obywatel w Poznaniu nieraz bywa „wyparty przez indywidualum argumentujące przy pomocy rewolwetu” („Głos Wielkopolski” z 23 września 1945).

Pisałeś mi, że zamierzasz przyjechać do Poznania z wieczorem autorskim. Nie zapomnij tedy kupić sobie ze dwa rewolwery, tomahawk i lasso, kiedy będziesz wybierał się na nasz Dzik Zachód!

Nie łącz natomiast dyskusji, jaka się w tej chwili toczy w poznańskim „Zyciu Literackim” na temat kultury Wschodu i Zachodu, z ogólną orientacją społeczeństwa polskiego w kierunku naszych nabytków zachodnich. Uważam za stosowne ostrzec cię, bo znając twój monistyczny sposób myślenia jestem pewien, że uparte, mistyczne przeciwstawienie Zachodu Wschodowi wiąże się z pędem szabrowników na Zachód. Przyznaj się, że byłeś bliski tej myśli! Tymczasem, mój drogi! wszystkie zjawiska społeczne są bardziej proste niżby się to pozornie wydawało. Dyskusje zaś na temat kultury należą także do zjawisk społecznych.

MOST IM. WOJCIECHA BĄKA

Jedno prześrodku mostu uniwersyteckiego zostało w czasie walk zerwane. Ładnych parę miesięcy minęło zanim Wojciech Bąk, w przewrę między listem apostołskim i apokalipsą, napisał artykuł, że to duża niewygodna obchoć ten most i że można by go łatwo i szybko naprawić. Przedtem nikt tego z poznaniaków nie zauważył. Nakładali drogi i koniec. Ludzie po prostu uważali, że w systemie demokratycznym święci będą za nas ganki lepić i budować mosty dla pana starosty. Wrócił z obozu Bąk i zażądał mostu. Most stanął, nie został jednak całkowicie wykończony, bo brak na nim tablicy: „Most im. Wojciecha Bąka”. Szkoda, ponieważ byłby to ładny symbol udziału pisarzy w odbudowie państwa.

Wtajemniczeni mówili mi, że magistrat kieruje się w tej sprawie głębszą polityką, bo wszystko co w tej chwili wartościowego dzieje się w Poznaniu zawdzięcza to miasto profesorom, pisarzom, muzykom, aktorom i kaba-

retowi literackiemu. Jakby się ochrzciło most nazwiskiem Bąka, to końca by potem nie było przemianowywaniom i przemalowywaniom. Wydział techniczny nie rozporządza zresztą odpowiednią ilością farby i fachowców, bo okupant, jak wiadomo, prowadził pod tym względem bardzo rozrzną gospodarkę. Może miasto ma rację, precedensy bowiem bywają niebezpieczne. Poetka Alicja Iwańska upomniała się o mieszkania profesorów uniwersytetu, więc wypadałoby i jej tablicę marmurową ufundować na którymś z mających po wstać w niedalekiej przyszłości domów profesorskich.

Na dobrą sprawę za mało jest w Poznaniu literatów, żeby mogli wejrzeć we wszystkie kąty i zwrócić zarządowi miasta uwagę na wszystkie składy szmelcu wojennego ozdabiające place publiczne, na walające się na chodnikach stopy rupieci i na jezdnie ciągle jeszcze usiane podwoziami rozbitych samochodów. Czy to jest zresztą odpowiednie zajęcie dla literatów? W dobrze zorganizowanym społeczeństwie musi być podział pracy. Inspekcja techniczna winna naprawiać drogi i mosty, a sanitarno-porządkowa i zakład czyszczenia miasta winny zająć się sprawą spacerowania krów po trotuarach głównych ulic Poznania, co powoduje przenoszenie się ruchu pieszego na jezdnię, jako że auta są czystszyimi stworzeniami od pocziwych krówek. Pisarze zaś powinni tworzyć powieści, dramaty, nowele.

Uniwersalność pisarzy prowadzi do pewnego amerykanizmu życiowo-kulturalnego, którym wcale się nie zachwycam. Nie jest w porządku społeczeństwo, któremu potrzebna jest osobista interwencja tak popularnego na tujszym gruncie poety jak Wojciech Bąk, żeby usunąć z jakiegoś placu kupę śmieci albo żeby szalejącej po świetlicach młodzieży zwrócić uwagę, że obywatele sąsiedzi wstająco o 6-ej do pracy nad odbudową państwa mają prawo do spokojnego spania w nocy. Przepisuję Ci dla przykładu, w jak trudnym terenie pracują tu pisarze, kawałek felietonu Bąka, w którym ten poeta namawia ziomek do popierania „Zycia Literackiego”: „Radzę: kupować, kupować, żeby śladu nie zostało... kupować dla siebie, dla znajomych, dla lokali, restauracji... A mogę to doradzić z czystym sumieniem. Pismo nie jest doskonałe — w ogóle doskonałych rzeczy na świecie nie ma. Ale jest doprawdy dobre. Znam się trochę na literaturze, więc wiem, co mówię, kiedy mówię: dobre. Mieście do mnie tyle zaufania. Możecie śmiało nie tylko kupić, ale czytać. Na pewno da wam więcej przyjemności niż szklanka piwa lub półtora pudełka zapalek. Piszą w nim profesorowie uniwersytetu, znani pisarze — i piszą, co jest dziwne — zupełnie zrozumiale i jasno. Piszą poza tym do rzeczy” („Głos Wielkopolski”, 8 lipca 1945).

Zauważyłeś pewnie, że zawsze w momentach przełomowych, w rewolucjach i przewrotach wysuwają się pisarze i dziennikarze na czoło. Jakby historia chciała w ten sposób podkreślić wagę dyktantyzmu. Dyktant dla tego z powodzeniem w trudnych okolicznościach zastępuje fachowca, że jako dyktant nie widzi trudności, jakie paraliżują energię specja. Widzieliśmy w czasie wojny fachowców, którzy nie umieli pracować w zaimprovizowanych warunkach i ludzi nowych, którzy świetnie dawali sobie radę, bo wyrosli z tych nowych warunków, byli organicznie związani z czasem.

Zawsze intrygowało mnie, dlaczego właściwie Platon wyrzucał ze swego idealnego państwa pisarzy. Platon był arystokratą i konserwatystą, nie miał tedy zaufania do elementu społecznie niepewnego, niespokojnego duchem i żadnego nowinek. Najprawdopodobniej jednak bał się niebezpiecznego, twórczego dyktantyzmu, jaki reprezentują artyści. Uniwersalność ich bowiem może oddać nieocenione techniczne usługi w pierwszym etapie rewolucji społecznej, nie mówiąc już o fąrmencie ideowym jaki wnoszą. Dzieje demokracji ateńskiej dostarczyły mędrcom interesującego materiału do rozmyślań. Platon rozwiązał kłopotliwe zagadnienie demagogiczne po ateńsku: skazał poetów na wygnanie. Za bardzo był bowiem Grekiem ceniącym wolność indywidualną, żeby zamykać intelektualistów w obozach, a za mało politykiem, żeby sprawę państwa umieć zrobić sprawą ogółu obywateli, jak nazywali wytworni ateńscy męzowie stanu o płacanie ze skarbu publicznego przeciwników politycznych.

INTER ARMA OLENT MUSAE

Trzon humanistyki Uniwersytetu Poznańskiego, polonistyka i historia, mieści się w wikarówce spalonego kościoła św. Michała, na tyłach szpitala czyli byłej szkoły handlowej. Jak przyjeżdżasz do Poznania, łatwo naś tam odszukasz: zastane barłogiem podwórze, polamane wozy, auto bez podwozia; suszące się skóry bydłce, a przede wszystkim duża kupka gnoju pośrodku i przy samym wejściu na dziedziniec ostrzy zapach śmiećnika, który urządzono w byłej kruchcie, od razu Cię zorientują, że zbliżasz się do Miejskiego Wydziału Kultury i Sztuki i do centrum humani-

styki poznańskiej... Może też trafisz na podwórzu na odzieranie krowy ze skóry lub ćwiartowanie wołu — to powinno Cię upewnić, że jesteś niedaleko seminarium historii literatury polskiej, seminarium języka polskiego, slawistyki, indoeuropeistyki itd., itd.

Sądzę, że Goethemu nie odpowiadałby ten entourage, bo Goethe był pięknołuchem. Skoro to jednak nie razi Wydziału Zdrowia, nie powinno to również przeszkadzać humanistom. Muchy też zresztą muszą żyć w tych ciężkich czasach. Widok z okna na rozplatanego wołu byłby zresztą, przynasz, mi to chyba, odpowiedniejszy dla studentów Akademii Sztuk Pięknych niż dla uczestników seminarium polonistycznego. Polonista woląłby patrzeć na półcie świńskie, oczywiście ze względu na smakowitą staropolską pochwałę wieprzobicia. Pamiętasz zapewne „klasową” anatomię wieprza, zawartą w porównaniu łakomej z wieprzem karmnym, pióra St. Lubienieckiego:

**A skoro wieprza milego położą,
Patrz, jak się z niego wnet pożytki mnożą.**

**Chrzept i z ogonem odłóż dla czeladzi,
Głowiznę z chrzanem panu dać nie wadzi,
Utni mu nogi, dobre do gorczyce;
Popiecz te nyrki, piecz i poledwice.
Wyrzni te schaby, wyjm górne pieczenie
Będą na stole i te w niezłej cenie.
Zołądek z wieprza, dobro to potrawa,
Zwłaszcza kiedy go przyzodobi przyprawa.
Ozór z podgarlem kwaśno uwarzony
Dobry czeladce, pieprzem zaprawiony.
Weź płuca z sercem, będzie siekaninka,
Będzie to krasna czeladce zwierzynka.**

W podziemiach kościoła św. Michała uratowało się kilkaset tysięcy książek. Od paru miesięcy grzebią tam w ciemnościach, jak krety, różne delegacje, komisje i przedstawiciele zrabowanych przez Niemców bibliotek na terenie Warthegau. Osobliwa to rzecz taka kopalnia książek, do której schodzi się z latarką w rękę, korytarze układane z tomów, sztolnie jakby kute w stosach druków, wąwozy stęchlizny księgarskiej. Na wiosnę przeciekał tam deszcz. Potem w murach zrównanego kościoła szpital urządził stajnię.

**Książki i konie w jednym stały domu:
Konie na górze, a książki na dole.
Książki spokojne nie wadzą nikomu.
Konie...**

Konie, wiadomo, jak konie. W każdym razie książki nie wyszły dobrze na zamianie opadów atmosferycznych na końskie!

Do spraw „repatriacji książek” nie utworzono dotąd specjalnego urzędu; mam na myśli repatriację wewnętrzną, krajową, a nawet jeszcze węższą, międzydzielnicową i między-miastową. Może dlatego właśnie akcja ta idzie dość sprawnie. Po Poznaniu ustawicznie krąży furgony i ciężarówki z książkami — to księgozbiory wracają do siebie. Poznań był w czasie okupacji miastem uniwersyteckim, więc dużo książek z biblioteki uniwersyteckiej i poszczególnych zakładów naukowych zostało po prywatnych mieszkaniach niemieckich profesorów, studentów i publiczności czytającej. Książki te w większości padły ofiarą hien, które powycinały pieczątki i pucyliły książki w ruch. W bardzo szanujących się księgarniach poznańskich, widziałem egzemplarze z powycinanymi ekslibrisami. Nikt w tę sprawę jakoś nie wejrzał. Raz w mojej obecności przyniósł do antykwarni jakiś człowiek worek książek i wysypał zawartość jak węgiel lub kartofle na podłogę. Od razu poznałem, po wspaniałych półśródkach egzemplarze stanowiące własność biblioteki uniwersyteckiej. Człowiek ten okazał się nowicjuszem, bo nawet sygnatur nie powycinał; chętnie też zgodził się oddać książki, skoro kulturalny antykwariusz poparł mą interwencję.

Książki w Poznaniu kupują księgarńie z prywatnych rąk na worki, a jeszcze częściej na wyspy od poduszek. Przypomina mi to czasy wywożenia biblioteki Żalskich albo czasy Józefińskich kasat klasztornych, kiedy to książki sprzedawano w Polsce na pudy i korce.

Kiedy jednak myślę o osobliwym skombinowaniu składnicy książek ze stajnią o nieszczelnej podłodze, to doprawdy nie wiem, co lepsze: czy bitwienie publicznej własności w oparach amoniaku, czy też uratowanie i zabezpieczenie książek choćby na drodze ich nielegalnego uprzywilejowania? A Ty jakiego jesteś zdania?

AKWARIUM W POZNANIU

Pytałeś się w ostatnim liście o Poznański Ogród Zoologiczny. Do Zoologu nie chodzę, bo nie mam czasu. A zresztą, muszę ci się przyznać, nie mogę patrzeć spokojnie na takie masy, zwaly i bryły mięsa spacerującego sobie swobodnie lub wylegające się próżniaczko i zupełnie bezużytecznie w czasach, bądź co bądź, jaskrzych. Pomyśl tylko, ile sznyceli, kotletów i befsztyków paraduje beztrosko i majestatycznie w cielsku takiego bawołu amerykańskiego. Poza tym wydaje mi się, że wszystkie te antylopy hasają trochę nielegalnie, jakby uciekły sprzed puszek Unrry zmniejszając nasze przydziały żywnościowe.

Zwiedzam, za to prawie codziennie akwarium. Znajduje się ono w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej. Jest to impreza nowa, powojenna. W czerwcu i lipcu po każdym deszczu woda spływała po schodach, rozlewała się po korytarzach, stała czynnicze kaluzami i jeziorami w hallu Biblioteki. Budowniczy nie mógł przewidzieć, że w jakimś tam roku, na skutek jakichś tam działań wojennych stłucze się kilka płyt szklanych w świetliku nad klatką schodową i że na skutek tego nowoczesny przybytek wiedzy zamieni się w kiepskie naśladownictwo starożytnego atrium.

Bez kaloszy i płaszcza gumowego trudno było dostać się do katalogu i czytelni na pierwszym piętrze, gdzie znów hulały sobie-pańskie wiatry. Biblioteka bowiem nie ma szyby, a częściami także okien. Otwory zaś okienne ogromne, bo architekt starał się wpuścić jak najwięcej światła do sal. Ładnie nas urządził! Niezły to przykład, jak zawodnie bywają zbyt skrupulatnie obliczenia ludzkie, a do takich należą także rachunki techniczne. Nikt zresztą nie mógł przypuszczać, że Poznaniowi po oszkleniu wszystkich sklepów, świetlic, barów, knajp, restauracji i kawiarni zabraknie głupich kilkudziesięciu metrów kwadratowych szkła na oszklenie Biblioteki Uniwersyteckiej lub choćby tylko na zabezpieczenie świetlika nad klatką schodową! Ostatnio małą powódź Biblioteki widziałem dnia 15 września.

Jeśli któregoś jesiennego dnia nie utonę w hallu albo nie ulegnę paraliżowi w sali katalogu, to w następnej epistole mojej znajdziesz obrazki jaśniejsze. Dużo tu bowiem zrobiło się rzeczy pozytywnych w ciągu stosunkowo krótkiego czasu. Ale o tym innym razem.

Na zakończenie mała prośba. Ubezpiecz mnie dyskretnie w którymś z krakowskich towarzystw na życie oraz od wszelkich wypadków i przypadków. Koniecznie staraj się dostać polisę, zanim numer „Odrodzenia” z moją korespondencją dotrze do Poznania. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Vale!

Wacław Kubacki

Polskie Wydawnictwo Muzyczne

Jednym z wydarzeń oznaczających wejście naszego życia kulturalnego na nowe tory jest powstanie Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, które zostało powołane do życia w kwietniu br. przez Ministerstwo Kultury i Sztuki jako wydawnictwo państwowe na podstawie organizacyjnej dawnego Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej. Ta nowa instytucja otwiera dla polskiego ruchu wydawniczego szerokie perspektywy, pozwala przypuszczać, że ruch ten, w okresie międzywojennym ustawicznie hamowany przez trudności finansowe, wydłże nareszcie z impasu. Można mieć nadzieję, że w najbliższym czasie wyrównana zostanie przynajmniej część tych olbrzymich zaległości, które sprawiły, że nasza twórczość muzyczna ostatnich lat i nasz dorobek wydawniczy na tym polu nie były wobec siebie w normalnym stosunku.

Siedziba nowej instytucji jest Kraków; kierownictwo jej powierzono dyrektorowi dawnego Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej, Oehlweiskiemu który od pierwszej chwili rozwinął niezwykle żywą inicjatywę. Przy Wydawnictwie Muzycznym powołana została Komisja Wydawnicza podzielona na szereg sekcji ustalających plan pracy w poszczególnych dziedzinach (sekcje muzyki symfonicznej, kameralnej i solowej; literatury muzycznej-pedagogicznej, literatury przeznaczanej dla zespołów ludowych i amatorskich i inne), opiniujących i zatwierdzających nadesłane rękopisy. Obecne plany wydawnicze idą w dziesięciu głównych kierunkach:

- 1) wydawanie wszystkiego, co we współczesnej polskiej produkcji muzycznej posiada wartość artystyczną;
- 2) kontynuowanie wydawnictwa dawnej muzyki polskiej z okresu zapoczątkowanego przed r. 1939 przez Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej;
- 3) przygotowanie do druku wielkiej publikacji „Analizy i objaśnienia dzieł Fryderyka Chopina” mającej się ukazać w r. 1949, tj. w setną rocznicę śmierci Chopina jako praca zbiorowa pod redakcją prof. Adolfa Chybińskiego;
- 4) wydawnictwo zbiorowe „Pedagogiczna Biblioteka Fortepianowa” pod redakcją Zb. Drzewieckiego, J. Ekiera, J. Hofmana, A. Riegera i H. Sztopki;
- 5) podobne wydawnictwo „Pedagogiczna Biblioteka Wokalna” pod redakcją Bronisława Romaniszyna;
- 6) „Pedagogiczna Biblioteka Skrzypcowa” pod redakcją Eugenii Umiańskiej;
- 7) wydawnictwo zbiorowe „Biblioteka Metodyczna dla Szkół Muzycznych” pod redakcją J. Miketty mającej na celu opracowanie na współczesnych podstawach naukowych metodyki wszystkich przedmiotów teoretycznych wykładanych w zawodowych szkołach muzycznych nowego typu;
- 8) podręczniki i prace naukowe z zakresu teorii i etnografii muzycznej (w przygotowaniu „Harmonia” Sikorskiego, „Muzyka dla wszystkich” Rudzińskiego, Szelińskiego, „Formy muzyczne”, Chybińskiego, „Tańce ludu polskiego”, Wiechowicza „Dyrygent chórny”), monografie muzyczne („Llity” Szymanowskiego pod redakcją S. Gołachowskiego, St. Łobaczewskiej „Zycie i twórczość Karola Szymanowskiego”);
- 9) pieśni ludowe i oryginalne w łatwym układzie na 2, 3 i 4 głosy, jako zbiorowe wydawnictwo „Polska pieśń chórna” pod redakcją St. Wiechowicza, „Śpiewnik szkolny” Br. Rutkowskiego.

Są to najważniejsze pozycje, z których część przeszła już w stadium realizacji; ukazały się już w druku pierwsze łatwy polskie kompozycje współczesnych na skrzypce, fortepian i wiolonczelę. Na szczególną uwagę zasługują utwory Ekiera, Szelińskiego i Bacewiczówny oraz drobniutki skrzypcowe Zarebskiego, Zarzyckiego, Wieniawskiego i in. w opracowaniu Dubskiej i Umiańskiej jako żądane wzbogacenie naszej literatury skrzypcowej. Poza tym przystąpiło Polskie Wydawnictwo Muzyczne do wydawania dwujęzycznego poświęconego sprawom muzycznym pt. „Ruch Muzyczny”, którego trzy numery już się ukazały pod redakcją Stefana Kisielewskiego.

Osobną dziedziną działalności wydawnictwa jest utworzenie wypożyczalni nut i biblioteki materiałów pisanych, przeznaczonych do wypożyczenia dla wszystkich zespołów orkiestrowych w Polsce. W obecnych ciężkich warunkach, gdy każdy niemały koncert o programie polskim natrafia na duże przeszkody z powodu braku materiałów, jest to inicjatywa ogromnej doniosłości.

Potrzeby naszej prehistorii

Odzyskanie ziem zachodnich zmusza nas do podjęcia wysiłków zmierzających do ugruntowania nauki polskiej na tych terenach, by nadrobić niedomagania całych pokoleń, co jest zasadniczym nakazem chwili obecnej. W dziele uodrodnienia naszych praw do tych ziem nie ostatnią rolę odgrywa prehistoria.

Znajduje ona coraz więcej zwolenników przez swe metody badawcze i budzi oddźwięk nie tylko u ludzi nauki, zwłaszcza w dziedzinie nauk historycznych, ale także w szerokich masach, które z ciekawością dowiadują się o nowych odkryciach śladów osadnictwa czy grobów, pozostałościach po mitycznych pokoleniach. Prace nad badaniami pradziejów kultury ludzkiej, a w większym zakresie kultury słowiańskiej docenia Związek Radziecki, którego uczeni wypracowali specjalne metody badawcze. Poszukiwania archeologiczne mogą obejmować szersze kręgi. Dla przykładu warto przypomnieć, że słynna osada bagienne w Biskupinie, mająca tak wielkie znaczenie dla nauki, została odkryta za pośrednictwem nauczyciela, który w porę doniósł o odkryciu właściwym czynnikom.

W archeologii niemieckiej, bardzo rozbudowanej w okresie hitlerowskim, odgrywała osobną rolę popularizacja prehistorii w szkole oraz za pośrednictwem muzeów. Szkoła stała się domeną pielęgnowania tradycji germańskich wraz z ich ujemnymi elementami i osławionym przodnictwem germańskim na terenie porzeczka Odry i Wisły. Świetnie urządzone muzea dydaktyczne nie były tylko suchym zbiorem zabytków, lecz odzwiercały procesy społeczne i gospodarcze Germanów namacalnie tak, że widzących z muzeum urzeczywistniała wielkość i domniemanym przodnictwem dziełowym swego narodu. Ze o tej dziedzinie władze okupacyjne w swej "wielkiej" pracy na wschodzie nie zapomnieli, świadczy powołanie sekcji prehistorii w Ostinstitut w Krakowie, która zorganizowała objazdową wystawę "Germanenberie in Weichselraum". Siła ona gadsnowa propagandę przy pomocy sprytnie podanych faktów oraz tendencyjnie dobranych zabytków, które miały dowodzić „dziedzictwa germańskiego na obszarze nadwielaskim”, rzec jasna z jaskrawym nadużyciem nauki dla celów grubej propagandy. Nie lepiej działo się na terenach przyłączonych do „Rzeszy”. W Poznaniu z działu prehistorycznego Muzeum Wielkopolskiego stworzono „Zakład prehistorii” — am położonych nad Wartą. Na katedrę prehistorii powołano członka SS dr Petersena, który w okresie przedwrześniowym bawił w Polsce na studiach muzealnych w różnych centrach naukowych. Dla swej poznańskiej placówki ogłosił w zbiorze państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie. Losy jego podzielił dział prehistoryczny Muzeum Śląskiego w Katowicach, którego materiały zabytkowe zostały przez Niemców wywiezione do Bytomia, a gmach rozebrany do fundamentów. Państwowe Muzeum Archeologiczne zostało po powstaniu warszawskim ograbione po raz drugi. Niemcy wywieźli zeń około 25 ton zabytków i bibliotekę „zabezpieczając” je w Höchstädt koło Augsburga.

Odrodzenie się naszego państwa po ofensywie Armii Czerwonej oraz przyznaniu nam terenów zachodnich postawiło garstkę polskich prehistoryków przed ogromnymi zadaniami. Powstało znowu Państwowe Muzeum Archeologiczne, wskrzeszona została działalność Muzeum Prehistorycznego Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, powstało Muzeum Prehistoryczne w Poznaniu, którego duszą jest zastępca prof. Kostrzewski, badacz Biskupina, Gniezna i Klecka. Powstało wreszcie miejskie Muzeum Prehistoryczne w Łodzi i katedra prehistorii na tamtejszym uniwersytecie. Organizuje się także muzeum dla prehistorii Śląska w Bytomiu przez scalenie zbiorów pozostałych na terenie Śląska. Są to jednak okrucy właściwej akcji, która winna być już zaczęta i realizowana przy poparciu czynników państwowych.

Niemcy pozostawili nam ważne centra badawcze o pewnej tradycji jak np. Wrocław i Szczecin oraz szereg drobniejszych jak Racibórz, Lignica, Elbląg czy nawet Koszalin i szereg drobnych muzeów regionalnych. Centra te, jeśli uchwyciły się, należy nie tylko obsadzić, lecz także zreorganizować stosownie do naszych potrzeb, przede wszystkim do szerokiego planu badania Słowiańszczyzny. Trzeba podjąć akcje badania grodzisk słowiańskich i piastowskich nad Odrą i Nysą, dokończyć badań piastowskiego Opola, zacząć przez Niemców, oraz Wolina. Ciąży na nas obowiązek stworzenia ośrodka badawczego na terenie Mazurów w Olsztynie, który zastąpi nam Królewicze, gdzie istniała doskonała wyposażona placówka „Prussia-Museum”. Olsztyn byłby predestynowany do badań nad wydzienieniem się w czasach prehistorycznych wspólnot bałto-słowiańskiej ze wspólnego pnia rodzimiego. Wobec zniszczenia muzeum gdańskiego winno muzeum w Elblągu stać się placówką badań naszych związków ze Skandynawią. Środowisko szcześcińskie zajęłoby się Wolinem oraz całym Pomorzem Zachodnim łącznie z nieprzyznaną nam Rugią, na której znajdowało się ongiś wielkie centrum polityczne i religijne Słowian. Ziemia lubuska łączy się z Wielkopolską i stanowi teren pracy poznawskiego środowiska naukowego. Natomiast twórcze się w Bytomiu muzeum prehistorycznej będzie mogło objąć Śląska, jak i myślała jego organizatorzy. Dla Śląska Dolnego winno powstać osadnicza instytucja naukowa w Wrocławiu. Było by błędem łączenie tych dwóch odrębnych krain geograficznych w jedną całość. Rozumieli to dobrze Niemcy, którzy mieli instytut dla Górnej Śląska w Raciborzu, dla Dolnego we Wrocławiu i dla Górnych Łużyce w Zgorzelcu.

Z racjonalną siecią ośrodków badawczych na terenach zachodnich wiąże się sprawa urzędów konserwatorskich. Bez wojewódzkich konserwatorów prehistorycznych nie możemy ruszyć w skali europejskiej ochrony zabytków prehistorycznych, zwłaszcza słowiańskich. Jest rzeczą charakterystyczną, że Ministerstwo Kultury i Sztuki tworząc Naczelny Dyrektorat Muzeów i Ochrony Zabytków, ustanawiając stanowisko Głównego Konserwatora Zabytków Sztuki nie stworzył analogicznego stanowiska konserwatora zabytków prehistorycznych, któremu by podlegali konserwatorzy wojewódzcy według schematu przyjętego dla ochrony zabytków sztuki i kultury. Pracy tej nie podejmuje wojewódzcy konserwatorzy zabytków sztuki, gdyż nieznaną im metod badawczych prehistorii oraz wagi i wartości naukowej poszczególne zabytków ruchomych i nieruchomych jest aż nadto widoczna.

Przepracowana na wiosnę b. r. reforma rolna zaistniała prehistoryków polskich nie przygotowanych do podjęcia cięższych na nich obowiązków. Podcażenie parcelacji wielkiej własności urzędy parcelujące w większości wypadków nie dostały wykazów obiektów nieruchomych, a to: grodzisk słowiańskich, kurhanów i osad obronnych, które by należało wyłączać i zabezpieczyć dla przyszłych badań. Dobra pomoc ze strony wojewódzkich konserwatorów sztuki nie jest tu wystarczająca. Konserwator widząc charakter obrony danego obiektu, a więc: wały, fosy oraz samą wyniosłość grodziska, wyłącza te partie z parcelacji nie wiedząc i nie widząc wcale o podrozdzi, którego wartość jest dla nauki nie mniejsza z uwagi na wielkie perspektywy badań gospodarczych i społecznych (ich pionierem był u nas prof. Bujak). Pracy zabezpieczającej nie podejmuje ku zadowoleniu fachowca-prehistorika konserwator zabytków sztuki, który nie pozna się bardzo często na wartości tego czy innego odkrytego stanowiska, i nie orientuje się nieraz w hierarchii naukowej wartości przypadekowych odkryć. A przecież wiemy, że zabytek sztuki czy kultury będzie łatwiej zabezpieczony w terenie przez świętego nauczyciela czy wójta dzięki efektownemu wygładowi znaleziska, niż odkryte pod warstwą orną zaros domów mieszkalnych. Ujawnione i zabezpieczone ślady ognisk i skupny ceramiki słowiańskiej, ślady osadnictwa słowiańskiego są dowodem naszego autochtonizmu na ziemiach zachodnich.

Pracy tej nie podejmuje Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie. Jego długoletnia praktyka wykazała, że niepodobna z jednego ośrodka wykonywać opiekę nad zabytkami rozrzuconymi po całym państwie. Zabezpieczanie odkrytych zabytków prehistorycznych odbywa się przeważnie na podstawie doniesienia. Rzeczy nie da się w należnym

temple dokonać z Warszawy, lecz co najwyżej z miasta wojewódzkiego. Konieczne jest przede wszystkim przy Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków stanowiska głównego konserwatora zabytków prehistorycznych, któremu podlegaliby konserwatorzy wojewódzcy. Działalność operacyjną się o muzea prehistoryczne poszczególne ziem. Prawidłowa sieć muzealna i konserwatorska, oto główny postulat prehistorii polskiej.

Ważne jest również połączenie muzeów prehistorycznych w ogólną akcję muzealną upowszechnienia kultury przez państwo. Z uczuciem wstydu musimy przyznać, że nie mieliśmy dotąd w Polsce ani jednego muzeum prehistorycznego, które by było racjonalnie urządzone pod kątem widzenia potrzeb dydaktycznych i upowszechnienia wiedzy o życiu ludów w czasach prehistorycznych. Dotychczasowe prace nasze w tym zakresie polegały na wystawieniu całych kolekcji form ceramicznych, broni oraz przedmiotów codziennego użytku, metodą chronologiczną, tzn. od starszej epoki kamiennej do okresu piastowskiego. Układ ten, istotny dla fachowca, nie jest właściwy dla szerokiej mas zwiędających. Przeciwny widok po obejrzeniu kilku gablot z zabytkami jest znany widokiem różnych typów ceramiki. Muzea prehistoryczne winny przemawiać do mas nie słotocznymi zasobami form ceramicznych czy okazami broni, lecz szeroka rekonstrukcja życia politycznego, gospodarczego i społecznego Słowian — za pomocą modeli, map i wykresów. Winny być uwzględnione elementy materialne i duchowe przez wydobycie na jaw piękna rodzimej wytwórczości, ozdób stroju i przedmiotów codziennego użytku. Już po badaniach Gniezna, Santoka, Opola i Wolina stać nas na taką syntezę, na pokazanie retrospektywnego obrazu kultury słowiańskiej. Rola takich wystaw będzie wielka. Dadzą one poczucie siły w pracy pionierskiej na Zachodzie, argumenty w walce o scenowanie ziem tak długo odłączonych od Polski.

Jerzy Antoniewicz

Przegląd teatralny

Życie teatralne Krakowa organizuje się coraz ciekawiej. Teatrów ledwo się możemy dorachować na palcach obu rąk, a tu wciąż jakaś nowa scena przybywa. Szczęśliwie inna bankrutuje na czas i zwalnia się dla niej palec. Mamy teatry reprezentacyjne, ogólne, mamy również specjalne. Więc robotniczy, żołnierski i nowy — peryferyjny. Stary Teatr pod świeżą dyrekturą również udeptytuje sobie dopiero plac. Uroczyste otwarcie odkłada, a wypuszcza na razie same przyrywki. W tym charakterze podjął „Pygmalion”. Dobry to pomysł. Byłby jeszcze lepszy, gdyby nie fakt, że dyrekcja teatrów na żaden inny pomysł nie zdobywała się również często jak akurat na ten. Ze „Sceny Polskiej” dowiadujemy się, że „Pygmalion” to sztuka, która osiągnęła u nas największą ilość przedstawień ze wszystkich sztuk w ogóle. Tak wyrobowanego numeru nie powinien się być Teatr Stary tykać. Na przedmietscia z nim! Właśnie do teatrów robotniczych czy wojskowych. Samemu zaś choć trochę czym zarzykować, skoro się nie jest ani „Komedia Francuska”, bo to rola „Stowackiego”, ani powielaczem pewniaków, bo to „przeznaczenie teatru dla mas.

Ale sztuka jest rzeczywiście fenomenalna! Shaw ją pisał jeszcze nie znużony własnym mistrzostwem, nie zbalałmuony powodzeniem. Zbudował ją w sposób dbały i rozumny, bez finf, kapryśków i pokazywania języka na scenie jak w różnych swoich końcowych „Matokach”. „Pygmalion” to wójt struktury. Wyrasta z początków, które na naszych oczach zaszły na scenę. Wyrasta ze świetnego pomysłu. Flgury ma żywe, dialog i myśl pyszna. Zagadnienie, którym się karmi, jest realne. Z grubsza biorąc jest to zagadnienie dopędzania ludzi zaawansowanych przez jednostkę zapóźnioną. Zarazem to pokaz, w jaki sposób sfery wyższe obwarowują swój prestiż pewną uwiesioną formą bycia. Szybkuje się na niej wżwzy, poniża się zarazem i trzyma w szachu wszelki twór, który jej nie potrafi.

„Pygmalion” jest historią dziewczyny, którą podjął z ulicy geniusz ortofonii (poprawnej wymowy), aby wygrać zakt i, że w przełajgu pół roku, „zrobi z niej księżniczkę”. Z nicości nie tylko fonetycznej, ale również kulturalnej, intelektualnej, rzeczywiste udaje mu się powołać do życia pannę, w której się zakochuje jak mityczny Pygmalion w posagu wyrzeźbionej przez się Galatei.

Księżniczka! Sztuka Shawa powstawała w czasie ciekawych badań nad narzędziami ludzkiej mowy. Badano jej treść, badano jej zasoby, a przy okazji również dźwięki. Narzeczona, wymowa, bogactwo słownictwa w zależności od sfery. W jakich zawodach, iloma tysiącami wyrazów człowiek włada. Mam w oczach odpowiednią tablicę. Angielski. U góry na pisarzy, potem naukowców, nie najgorsze miejsce zajmują duchowni (należą do przedstawicieli tak zwanych „zawodów zarobkowych”), ludzi, których one obejmują, w obrębie jednej mowy władają dwoma językami, w tym wypadku pierwszy to język kościelny, z kazalnicy, drugi — potoczny. Kogóż to jednak spostrzegamy na samym dole tej tablicy. Spór o ostatnie miejsce toczą z sobą przedstawiciele szczeniakerii z niedzarskich przedmieść czy dzielnic doków z reprezentantami „złotej młodzieży”. Pod tym kątem dokonano obserwacji w najrynstokraczejniejszych klubach Londynu. Potwierdziły one spostrzeżenia poczynione na wyszczególnionych, w lokalach, czy na uroczystościach rodowych. Młodzież, o której mowa, miała na przykład jeden jedyny określenie na wszystkie swoje pozytywne oceny i jeden tylko na wszelką negatywną. Tak więc: koń, kobieta, obraz, podróz, moda, rozrywka sportowa była albo — s t r e s z n a (straszna) albo — piękna (piękna). Po tych ustaleniach, zwłaszcza że są angielskie, Shaw musiał śmiać się w kulak, ilekroć sobie przypominał, że na sceny, w których kazał wieść prof. Higginsowi kwiatki, umieścić symbolozną księżniczkę.

Dzisiaj jest to dla nas tym bardziej paradoksalne, że Higgins by jej na szczytach prawdopodobnie nie zastał. Bo jednocześnie z darcie się niektórych jednostek z warstw zapóźnionych ku górze odbywa się ciekawy ruch migracyjny ze szczytów w dół. Napomyka o nim również Shaw. Nazywa to w swojej sztuce „nowym stylem” (wulgaryzmów i swobodnej mowy występującej u ludzi z najlepszego towarzystwa). Fakt, na który zwraca uwagę socjologia. Na pewną tendencję sfer górnych charakteryzowania się na prostotę, rubaszność, socyśćność mowy. I w mowach! Jest to ciekawa odmiana społecznej zasłony dymnej. Pozoruje ona pewną bliskość, językową komitując pana z chłopem, dyrektora z robotnikiem, ministra z rządzoymi. Jest to rodzaj języka i rodzaj wymowy, którą by można nazwać osłaniającą. Ale w sztuce Shawa chodzi oczywiście o typy wymowy dającej przywileje. W Anglii dawał jej akcent oxfordzki, u nas inteligencji, bezpośrednio po przewrocie majowym — pamiętam zabawna, podobno w niektórych wypadkach nieświadoma tendencją do zaciągania z wieleńska. To pod Piłsudskiego! Potem po prostu z żołnierska. Wojna ostatnia potworzyła fenomenalne wiry powściągliwości i atrakcji w wymowie. Wywoma mogła zdradzać, wymowa mogła ukryć. Wielkiej politycznej czy partyjnej kariery w Niemczech hitlerowskich nie mógł zrobić nikt o wymowie wieleńskiej. Żydów jakże często wydawała na zgnębienie wymowa. Po powstaniu w niektórych miasteczkach bardziej przeludnionych lepiej się było nie odzywać z warszawka. Nie koniec na tym! Wtem konkretnie o jednym z najwybitniejszych pol-

skich magnatów, kimś czarniawym, południowym, po matce Hiszpance, krewniacze królewskiej rodziny hiszpańskiej, który będąc szczególnie na bakier z dzisiejszym stanem rzeczy w Polsce, ponieważ obstawiał swój pałac na wsi żandarmerii niemieckiej przed partyzantami — musiał się ukrywać. Miał odpowiednio sfatszowane papiery, i — żył dalej.

Teatr Stary pograł sobie sztukę Shawa na całego. Po świetnym „Panu Piku” dał spektakl lichej. Tak to niestety była w teatrze. Lekka stopa przechodziła od cudów do kłeczów i na powrót. Dobra, jednolita passa należy do rzadkości. Zdarza się tylko wielkim majstrom dyrektorskim, ludziom rzadkiej woli, pracy i nieznaćnośno smaku. Tyko, że bywają wpadki i wpadki. Poślizgnął się na „Pygmalionie” to rzeczywiste wstydy. A zwłaszcza reżyserisko się spynać aż tak, jak to zdołał J. Mayer. Proletariat z pologii amatorskiej, „rynstokowa” wymowa Matusiakówny, dzika, fikcyjna, epizod u pani Higgins przegrany, wielka scena historyczna bardziej hałaśliwa niż dramatyczna. Matusiakówna to na pewno duży talent, ale pod grubą pokrywą, wyjątkowo nie samotnie. Nie Mayena jej trzeba było, ale jakiegoś Higginsa reżyserii. A Warnecki? Grał wielkiego uczonoego, nerwusa, egocentryka, starannie podpatrzył podobną postać, zgromadził mnóstwo trafnych spostrzeżeń, cóż z tego? Podal jej u szczytów szary. Tak sobie wyobrażam Higginsa granego na Ziemi Ognistej. W siokach, w susach, w sprychnace. Tenże to Warnecki! „Dnia jego powrotu”, z „Cyda”? „I była laka przepaść bez dna i bez granic”... A on w nią wpadł! Kiedy tak koziołkował po kanapach i fotelach, spojrzalem na dół afisa, gdzie się można dowiedzieć skąd są suknie, skąd kapelusze itd. Sądziłem, że tam znajdzie informacje, że tapczany są z firmy Knippenberg. I że to wszystko dla reklamy wytrzymalność. Gdzie tam! Wtem, że w tym kierunku każdorazowo pcha Higginsa Shaw w swoich informacjach i objaśnieniach do sztuki. Ale czegoż one dowodzą? Ze Shaw byłby fatalny jako reżyser własnych sztuk. Polski pokazywał mi rysunkowe sugestie Shawa, kiedy mu wykonywał ilustracje do „Genewy”. Ta sama historia. Shaw żądał jaskrawości za wszelką cenę. Mało to wielkich artystów mających kiepski smak w pozostałych dziedzinach sztuki? Machnął ręką na te wszystkie jego objaśnienia, i — koniec! Pocięsał nas na przedstawieniu E. Fulde, któremu przysłała siły komicznej z każdą rolą. W pozostałych H. Gallowa, M. Klernikówna, H. Górską, E. Dankiewicz oraz B. Loed jako pukownik Pickering zgodnie z tradycją tej postaci bardzo nudny.

Decoracje J. Kosłńskiego, wyjątkowo utalentowanego młodego dekoratora z Warszawy, któremu teatr podziemiły stolicy zawięczała prześliczną „Fędrę” — nierównie. Najlepsza progowa, ładna architektonicznie, przykra w kolorze. Czemuż to Kosłński maluje nam Londyn w tak odrażających barwach? Pozostaje, jak na karykaturę angielszczyzny z epoki, nieśmiały, jak na charakterystykę ówczesnej rzeczywistości — niepoeciągające. Słowem widowisko w całości: streszne, Fulde jako Doolittle: piekny.

Tadeusz Breza

REWIA TANECZNA W TEATRZE „GROTESKA”

Kukielki z teatru „Groteska” zupełnie zbytecznie ustąpiły miejsca żywym kolegom. Są prawdziwsze, żywsze, bardziej artystyczne i przekonujące w ruchach, dążą do określenia jakiegoś zdecydowanego wyrazu, których to zalet daramnie, choć jakżeż żywcie, ze względu na piękny talent Niny i Edmunda Nowaków, staraliśmy się doszukać w waleję rewii baletu Kopńskiego „Tańcem dookoła świata”.

Sam pomysł znakomity. Przegląd narodowych tańców różnych krajów. Niestety, realizacja tego pomysłu nie poszła po linii autentyzmu, ale raczej „sztywnych, zbanalizowanych i fałszywych wyobrażeń bywałców rewiek na przedmieściach. Brak autentyzmu w tańcu wybornie synchronizował z brakiem autentyzmu w muzyce. Dla oddańczenia „mazurka chłopkiego” trzeba było sięgać do mazurki z baletu „Copelia” francuskiego kompozytora Delibes!

Nowakowie to niewątpliwie najbardziej utalentowani tancerze młodego pokolenia. Posiadają nie tylko talent i wspaniałą temperament, ale również opanowaną, wyczulowaną technikę. Na to, by stać się pełnymi artystami, brak im studiów nad formą i formułą sztuki plastycznej. Nowakowscy, niestety, od czasu, gdy zachycałymi się nią w balecie Parnella, cofnęła się raczej w rozwoju. Wtłaczanie tej artystyki w formy zbanalizowane i zdawkowe może stać się dla niej katastrofą. Było by warto, aby zainteresowały się nią odpowiednie dyscypliny kulturalne i ochroniły od kariery rewiewowej. Czy jednak można na to liczyć, skoro Leon Wójcickowski, jeden z najwybitniejszych i skromniejszych polskich artystów, sławny i ceniony w całym świecie poza ojczyzną, któremu Igor Strawiński poświęca w swojej książce parę entuzjastycznych stron, musi zarabiać na życie występami w „Feniksach”, „Bajkach” itd.?

Zapowiadał Stefan Otwinowski, który poza tym sam wykonał syntetyczną wizję „Umarł Maćkiewicz”. Otwinowski jest autorem autobiograficznej powieści „Marionetki”, w której opowiada jak z desek kabaretu przeszedł do literatury. Obecnie pracuje on nad powieścią „Grand Guignol”, w której opowiada o drodze powrotnej z literatury do kabaretu.

Stanisław Dygat

nijszym osobistościom, między innymi ks. Bystrzanowskiemu, dziekanowi kapituły i senatorowi, który — jak z burzeniem pisze — przyjął go „w gacich i koszułi, z długą łulką w pysku”. Składa również wizyty rezydentom dworów opiekuńczych starając się pozyskać ich do siebie. Stosunek jego do księży podobnie jak do Austriaków, którym to mianem określał także i austriaków, był negatywny, ale mimo to bywa u ks. Schindlera, prezesa senatu, dedykując mu nawet swą rozprawę „O koniecznej potrzebie i użyteczności policji lekarskiej”, ofiarowując mu prezenty uważając, że „dobrze jest w razie potrzeby mieć przychylnego dla siebie naczelnika kraju”. Bywa dalej u Brodowicza, profesora Kliniki Lekarskiej, który mając poparcie Austrii wywierał wpływ na ówczesne życie w Uniwersytecie i całym Krakowie. Nie lubi go, ale składa mu osobiste życzenia, kupuje upominki. Oburza go postępowanie Brodowicza w stosunku do sędziwego Streicherera, ale nie zdobywa się na obronę kolegi.

Zaraz na początku wpadł Hechel w srodek intrygi świata profesorskiego. Już sam konkurs nie mający żadnych precedensów, był akcją Brodowicza wymierzona przeciw innym profesorom: Jakubowskiemu (może ze względu na jego rozległą praktykę i Socyzyńskiemu, a pech chciał, że ofiara jej padł przyjaciel Brodowicza Julian Sawiczewski, którego miejsce zajął Hechel. Wkrótce rozpoczął swą działalność pedagogiczną i mimo że miał kilkunastu tylko uczniów, a w jednym roku nawet jednego, przygotowywał się do swych „lekcji” bardzo solidnie, opracowując skrypta, nad którymi „trzeba było dzień i noc ślepić”. Czytanie skryptów uważał za „najlepszy i najkorzystniejszy dla uczniów sposób dawania lekcji”. Prawdopodobnie on pierwszy w Krakowie wprowadził pokazy i obecność studentów przy sekcjach sądowo-lekarskich dla celów dydaktycznych. Dotąd wykład medycyny sądowej był wyłącznie teoretyczny.

Pracą czysto naukową a głównie rozprawa „Historiczno-krytyczne badania początku i wzrostu medycyny sądowej” zjednał mu rozgłos i ustalił jego pozycję w świecie naukowym. Był wraz z Majerem i Skoblem chlubą wydziału lekarskiego, a nawet całej Almae Matris, gdyż naukową działalnością i żywotność wykazywał wtedy głównie profesorowie medycyny i na nich głównie spoczywała praca Towarzystwa Naukowego. Zainicjowano również na wydziale lekarskim (na wniosek Brodowicza) zebrania towarzyskie z herbatką co tydzień u innego profesora. Ogładano tam po raz pierwszy pod mikroskopem „kulczki krwiste i limfatyczne”, „maszynę elektro-magnetyczną”, układano słowniki lekarskie itp.

„Akademia Krakowska więcej jest podobna do szkolki biednej...” — pisze Hechel — „aniżeli do którego uniwersytetu państw oświeconych”. Autonomia uniwersytetu skrupowana opieką „dworów opiekuńczych” i narzuconym komisarzami była fikcją. Wydawano zarządzenia zabraniające studentom chodzić do teatru, nosić laski itp. Ale również wydano zakaz przyjmowania młodzieży spoza okręgu krakowskiego. W ogóle krakowianie żyli podówczas w atmosferze przygnębienia, ograniczeń i ucisku. „Szpiegów mnóstwo niezliczone”. Arszotowania w nocy, wywożenia do Triestu i wysyłanie do Ameryki, zwolnienia sędziów. Wszystko odbywało się w zakłamaniej atmosferze obłudy przyjaźni i „opieki”.

„Ucisk, drożyzna żywności, obawa głodu, aresztowania...” Są to elementy rządzenia doskonale nam znane. „Po tym ostatnim powstaniu (w r. 1846) — konkluduje Hechel — „już wieczny rozbrat między Polakami a Niemcami nastąpi!”

Foimny propagandy nieprzyjaźni odznaczone są również dobrze naszemu pokoleniu. „Rząd austriacki — czytamy w „Pamiętnikach” — w sztuce głupienia i niezrozumienia ludu wszelkie inne przewyższał. Wmawiał im „jedestmy cesarzy i Gallianów, a nie Polacy — jeden Niemiec prowadził 1000 Polaków, którzy na skłonie jego na swych wczajają się bracia!” Ale wierzy Hechel, że „na ten stanowi podwalinę wszystkich przedsięwzięć, że „na tej najliczniejszej klasie ludu moc i pomyślność narodu opiera się”. W sprawie żydowskiej uważa, że „najgłębszym i najniebezpiecznym środkiem zamienienia Żyda na użytecznego obywatela jest jego oświecenie i podniesienie do nas...” Sam pochodził ze sfer rzemieślniczych i jakkolwiek obracał się w kołach arystokracji krakowskiej, odczuwał potrzeby ludu i wytykał w pamiętnikach błędy szlachty.

Sytuacja finansowa Hechla jak i większość profesorów teoretycznych przedmiotów była licha. Nie wychodził prawie z kłopotów pieniężnych, ale też po stronie rocznie widnieją za okres 10-letni 10.000 złp. wydanych na książki (dla porównania dodać trzeba, że cena 1 korca ziemniaków wynosiła 3 złp, a kurcze kosztowało 12 gr, a więc suma wydana na cele naukowe olbrzymia). Nie więc dziwnego, że przedsięwzięcie jego na wakacyjną podróż pokonywane było z cudzych pieniędzy, bo tylko ci z profesorów mieli niezależny byt, którzy poza katedrą zajmowali się palestrą, notariatem, kanonią, duszpasterstwem w parafii św. Floriana, św. Mikolaja itp.

Hechel był głęboko przejęty swą rolą nauczycielską i pracą społeczną, już to jako poseł do Sejmu, już to jako członek dyrekcji teatru lub wizytator szkół powszechnych. Wiedzę swą stale pogłębiał, z upodobaniem rozczytywał się w klasykach rzymskich, dla nabrania wprawy w języku łacińskim, którego używał w wykładach historii medycyny. W podróży towarzyszył mu zawsze Tacyt i Horacy. Wprawdzie „lekarz może być dobrym i użytecznym praktykiem bez znajomości języka i literatury łacińskiej, ale nigdy uczonym lekarzem nie będzie”. Wśród swych słuchaczy miał też tzw. chirurgów (nazwa odpowiadająca dzisiejszym felczkom). Byli to słuchacze bez średniego wykształcenia, słuchali tych samych prawie przedmiotów co i słuchacze medycyny lecz w języku polskim, gdyż łaciny nie znali. Nauka trwała 4 lata, podczas gdy słuchacze medycyny studiowali 7 lat. „Klasa ta pośrednia — niedouczonych lekarzy czyli prawdziwych fuszerów — podług mego zdania — pisał Hechel — nie tylko nie jest potrzebna, ale owszem istotnie szkodliwa...”

Szkolenie „chirurgów” zgodnie z powszechną opinią zarzucono jeszcze w ubiegłym stuleciu, a miano chirurgów przeszło na lekarzy wyspecjalizowanych w dziale chirurgii.

Hechel nie trudnił się praktyką lekarską zawodowo, ale czasem leczył kogoś ze znajomych lub swych domowników (to żonę, która mu zapadła na „gorączkę zamulno-żółciową”, to znów służącą, której bezkrytycznie przepisał maść o dziwnym składzie przypominająca średnio-wieczną drakiew. Wprawdzie „wonia tej maści jest nieznosna smrodliwa” jednak „po tygodniowym użyciu tego środka najuporczywiejsze zimnice (tj. gorączki) ustają”. Dziwi nas ta terapia z uwagi na wyrobiony krytycyzm Hechla.

Dotychczas wydane dwa tomy „Człowieka nauki” wyszły w wydawnictwie Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Historii Medycyny pod staranną redakcją prof. Wł. Szumowskiego.

Zdzisław Wiktor

W poprzednim (50) numerze „Odrodzenia” z dnia 11 listopada: Józef Sieradzki: Więcej światła. — Bolesław Dudziński: Parcelacja czy komasacja? — Krystyna Kuliczowska: O współczesnej literaturze dla dzieci. — Hanna Mortkowicz-Oleczakowa: Wspomnienie. — Tadeusz Różewicz: Droga na Zachód. Zabawa ogrodowa. — Jerzy Andrzejewski: Przed sądem. — Irena Krzywicka: Spotkanie z Francją. — Jan Tański: Wspomnienie o Apollinaire. — Bogusław Kuczyński: Notatki angielskie. — Wacław Kubański: Pro domo mea. — Seweryn Pollak: Niedostrzeżenie. Gra ostateczna. — b: Po śmierci Paul Valéryego. — Leon Pasternak: Lata powrotu (Powrót, Piosenki). — Paweł Etlinger: Nad rękopisami arabskimi. — Edward Piwowski: Z lasu. — Z teatru. — Stefania Łobaczewska: Koncert muzyki angielskiej w Krakowie. — Józef Sieradzki: Oświecenie. — Jan Sztudzynger: Brak cieniów na szczyście. — Artur Sandauer: Sprawy nudne. — Z: Przed reformą szkolną w we Francji. — Tadeusz Breza: Przegląd teatralny. — Kronika ilustrowana. — Współczesna literatura amerykańska. — Z: Przegląd prasy. — Literaci na jeździe (4 rysunki Edwarda Głowackiego). — 12 ilustracji. — 12 stron.

Życie koncertowe w Krakowie

Najlepszym bodaj sprawdzianem rozwoju kultury muzycznej w Krakowie jest fakt, że w krótkim okresie czasu, dzielącym nas od chwili odzyskania niepodległości, powstał już drugi zespół kameralny. W ostatnim tygodniu witalismy nowy kwartet smyczkowy, który pod nazwą Kwartetu Krakowskiego powołany został do życia przez znanego solistę i koncertmistrza Filharmonii Krakowskiej, Stanisława Tawroszewicza. Kwartet ten, w którego skład wchodzi poza Tawroszewiczem (I skrzypce) Elżbieta Wysocka (II skrzypce), Henryk Zarzycki (altówka) i Józef Mikulski (wiolonczela), wystąpił z programem złożonym z kompozycji Beethovena, Schuberta i Kiselewskiego i od razu przedstawił się z najlepszej strony: jest już dziś, na pierwszym koncercie, nie zbiorowiskiem przypadkowo dobranych solistów, z których każdy wygrywa swoje osobiste ambicje wirtuozowskie, ale prawdziwym zespołem, gdzie każdy z uczestników jest muzycznie na swoim miejscu. Jest już dziś dobrze zgrany, jak tego dowiodło choćby wykonanie bardzo precyzyjnie op. 18 nr 4 Beethovena z jego trudną, doskonale zagrąganą drugą częścią. Wykazuje wreszcie trafne ustosunkowanie dźwiękowe poszczególnych instrumentów, gdzie ton się wawiony być musi nie tyle na blask i barwę, ile raczej na linie głosu w zespole. Ta specyficznie kameralna postawa, solidny poziom techniczny i dobre wyczuwanie stylu, pozwalają przypuszczać, że Kwartet Krakowski wysunie się z czasem przy wytrwałej pracy na czoło naszych zespołów, w każdym razie — sądząc po tym pierwszym, bezspornie bardzo udanym występie, posiada do tego wszelkie warunki.

Szczególne zainteresowanie wzbudził kwartet młodego kompozytora polskiego, Stefana Kiselewskiego. Jest to utwór (znaczy już dorobek kompozytorski Kiselewskiego uległ prawie w całości zniszczeniu w powstaniu warszawskim), nie może więc dać pełnego wyobrażenia o tym, w jakiej fazie rozwojowej znajduje się jego twórczość w obecnej chwili. W każdym razie już w tym kwartecie, pochodzącym z 1935 roku, staje Kiselewski pewną nogą na gruncie muzyki współczesnej. Mimo pewnych widocznych wpływów impresjonizmu francuskiego i Prokofiewa, wyczuwa wyraźną nutę osobistą, w II części, bardzo pięknie pod względem brzmienia, nawet poważnie pogłębiając i solidną technikę kompozytorską. W dalszych częściach inwencja nie utrzymuje się na tak wysokim poziomie: gawot zwłaszcza wykazuje pewną dysproporcję między bardzo stereotypowym gestem melodycznym a jego opracowaniem.

W Filharmonii krakowskiej odbył się koncert symfoniczny, w którym przy pulpicie kapelmistrzowski stanął po raz ostatni przed wyjazdem na nową placówkę pracy w Poznaniu Zygmunt Łatoszewski. Program, wartościowy i ciekawy zwłaszcza w swej części pierwszej, zawierał Mozarta symfonię Es-dur oraz dwie arie z „Uprawdzenia z Seraju”, Ravela suitę orkiestralną „Le Tombeau de Couperin”, Szymanowskiego „Zulejkę”, uverture do „Marii Szakowskiej” — niepełnie w ramach tego programu mieszczą się dwie arie z „Hrabiny” Molinskiego (solistka Ewa Bandrowska-Turska). Symfonia Mozarta przygotowana była bardzo starannie (doskonale zagrana partie drzewa), a arie z „Uprawdzenia z Seraju” zaśpiewane były niezwykle pięknie. Precyzyjnie wyszła też suita Ravela, stanowiąca pełne wdzięku połączenie tendencji stylizacyjnych i współczesnej techniki kompozytorskiej, mistrzowsko instrumentowana. Nie przekonywa natomiast „Zulejka” Szymanowskiego ze swym akompaniamentem zinstrumetentowanym na orkiestrę przez Grzegorza Fitelberga; z jego powodu wyraźnie traci — w porównaniu z fortepianem — partia wokalna.

Z okazji pożegnania dr. Łatoszewskiego należy podkreślić jego wielkie zasługi położone dla Filharmonii krakowskiej, jego wytrwała, owocna praca, podjęta w najtrudniejszych warunkach, która w tym kilkumiesięcznym okresie zrobiła z nowoorganizowanej orkiestry najlepszy zespół symfoniczny w Polsce. Dała temu wyraz publiczność krakowska i członkowie orkiestry, którzy po serdecznym przemówieniu wiceprezenta miasta Torę zegnali dyr. Łatoszewskiego niemiłymi oklaskami.

Stefania Łobaczewska

Sprawy słowiańskie

PRASA CZESKA

Do r. 1939 prasa czeska stała na bardzo wysokim poziomie, zarówno redakcyjnym, jak technicznym. Wyszukiwanie większe grupowania polityczne wydawały swoje dzienniki i tygodniki, a to w każdym większym ośrodku politycznym czy gospodarczym kraju, więc poza Pragę np. w Bernie, Morawskiej Ostrawie, Olomuńcu czy Pilźnie. Pism zupełnie bezpartyjnych właściwie nie było, jakkolwiek taki charakter usiłowały sobie nadać dwa bardzo rozpoznacone dzienniki, praska „Národní Politika”, zblizona w gruncie rzeczy do czeskich narodowych demokratów, a podobna do polskiego „Kurieru Warszawskiego”, oraz bernenskie „Lidové Noviny”. Ważone znowu do partii czeskich narodowych socialistów (stronnictwo Benesza). Podobnie było z tygodnikami politycznymi.

Okupacja hitlerowska zadała prasie czeskiej cios nie tylko bardzo ciężki, ale także bardzo rafinowany. Kazano bowiem zatrzymać dawne tytuły, ale treść dyktowano pod nimi tak, jaka mogła właśnie być dyktowana tylko w „III Rzeszy”. I oto pod zastużonym tytułem „Národní Politika” czy „Lidové Noviny” jad hitlerowski był podawany w czeskiej mowie. Nie spotkało to tylko dwu pism skrajnie lewicowych, których organizacje partyjne zostały przymusowo zlikwidowane, a to socjalnie-demokratycznego „Práva Lidu” i komunistycznego „Rudé Právo” (Czerwone Prawo) — to drugie pismo zostało zlikwidowane jeszcze za „II Republiki” przez jej faszystujące władze czeskie, po czym wychodziło tajnie i utrzymywało się jako organ podziemny przez cały czas okupacji.

W wyzwolonej Czechosłowacji prasa została postawiona na dawnym poziomie, ale po pierwsze nie przyjęto dawnych tytułów pism spługawionych przez okupanta, a po drugie nie wszystkie dzienniki zaczęły ponownie wychodzić, zgodnie z faktem istnienia tylko czterech stronnictw politycznych: narodowych socialistów (Benesza), socjalnej demokracji, komunistów i ludowców katolickich (eskosłowacka strona lidová). Nie wychodzi więc już przedwojenny „Venkov” (Wies), niegdyś organ agrariuszy czeskich, którzy najbardziej skompromitowali się kolaboracjonizmem, ani „Národní Politika” czy właściwy organ nacjonalistów czeskich „Národní Listy”. Pozostałe pisma zaś z nowym duchem przybrały i nowe tytuły. A więc partia Benesza wydaje na miejscu „Czeskiego Słowa” („Ceske Slovo”) dziennik „Svobodné Slovo”, na miejscu dawniej „Lidowej Gazety” („Lidové Noviny”) wychodzi „Svobodné Noviny”, mające w podtytuł określenie „Pismo zrzeszenia organizacyj kulturalnych”, a na miejscu dawnego organu katolików czeskich „Lidové Listy” wychodzi „Lidová Demokracie”. Czeszy socjalni demokraci wydają ponownie swoje „Práva Lidu” („Práva Lidu”), a komuniści „Rudé Právo”. Ponownie wychodzi także zakazane przez okupanta „Národní Osвобоzení”, organ legionistów czechosłowackich. Wszystko z wyjątkiem bernenskich „Svobodných Novin” są to pisma praskie. Na prowincji wychodzi w Bernie katolicka „Národní Obroda” („Odrodzenie Narodowe”) i socjalnie-demokratyczna „Čin”, w Mo-

rawskiej Ostrawie narodowo-socjalistyczne „Nové Slovo” a w Olomuńcu komunistyczne „Stáří Lidu”. O ile chodzi o tygodniki, na pierwszym miejscu wymienił trzeba organ Akademii Robotniczej „Nová Svoboda”, pismo, które wychodziło w czasie wojny w Londynie i liczy już rok istnienia. Wychodził nadto jako organ narodowych socialistów bardzo bogaty w treść „Svobodny Zit’ek” („Wolne Jutro”) i podobnie okazały się przedstawiający „Své Práce” („Świat Pracy”), wydawany przez socjalną demokrację, dalej komunistyczna „Tvorba” („Twórczość”) i katolicka „Obzory” („Horyzonty”). Wszystkie te tygodniki uwzględniały możliwie szeroko zjawiska współczesności, nie ograniczając się do literatury, ale wiele miejsca poświęcając także zagadnieniom politycznym.

Na koniec zaznaczamy, że sprawom słowiańskim i polskim poświęca się w pismach tych dużo miejsca, zgodnie zresztą z tradycją przedwojenną i w duchu na ogół bardzo dla nas przyjaznym. Są oczywiście i wyjątki.

CZECHOSŁOWACJA ROZBUDOWUJE SWOJE SZKOLNICTWO WYŻSZE

Do r. 1938 Czechosłowacja posiadała już bardzo dobrze rozwinięte szkolnictwo wyższe: dwa uniwersytety czeskie i jeden słowacki, dwie politechniki czeskie i jedna słowacka, nadto kilka samodzielnich fakultetów i uczelni specjalnych. Po przerwie wojennej, w której okupant hitlerowski zdusił życie kulturalne czeskie, a zwłaszcza szkoły wyższe, wyzwolona Czechosłowacja przystępuje do dalszej rozbudowy także w tej dziedzinie. Znikną oczywiście uczelnie przeznaczone dla Niemców, a za to powstanie nowy uniwersytet czeski w Olomuńcu (czasowo istniał tam już w XIX w.), w tymże mieście wyższa uczelnia spółdzielcza, oraz filia praskiego wydziału lekarskiego w mieście Hradec Králové. Ponadto Akademia Górnicza z miasta Příbram w Czechach zostaje przeniesiona do Morawskiej Ostrawy, do najważniejszego okręgu górniczego Czechosłowacji.

DZIAŁALNOŚĆ „MACIERZY SŁOWACKIEJ”

Najstarsza i najlepiej znana słowacka instytucja kulturalna, naukowa i oświatowa w Słowacji, „Matica Slovenská” rozpoczęła ponownie swoją działalność. Instytucja ta, istniejąca od r. 1863, po kilku latach istnienia zamknięta przez szowinistów węgierskich, wskrzeszona w pierwszej republice czechosłowackiej, przeszła wraz z całym narodem słowackim w okresie ostatniej wojny bardzo zmienne koleje. Omamieni złudnym blaskiem rzekomej niepodległości, niektórzy uczeni słowacy dostosowując się do chęci nauki do koniunktury politycznej i to odbiło się także na działalności „Macierzy Słowackiej”. W czasie wojny, M. in. wydano nowe prawidła zawierania i czeskiego, których głównym celem było zacieranie z ducha i przetrwanie języka słowackiego i czeskiego. Obecnie sekcja językowa „Macierzy” opracuje wespół z Czeską Akademią Nauk nowe prawidła, które stać będą na stanowisku ściślej obiektywnej nauki.

hb

PRZEGLĄD PRASY

Czasopism poświęconych sprawom kultury jest już obecnie tak wiele, że każde nowe pismo, które się ukazuje musi posiadać specjalną legitymację sensu swego istnienia. Nie ma powodu dość ważnego, jeśli istniejące pisma dublować, tym bardziej, jeśli spełniają dobrze swoje zadanie. Jest rzeczą słuszną, jeśli powstanie pismo, które zajmie wciąż wolne miejsce „Przeglądu Współczesnego”, bledem natomiast będzie, jeśli za cel swój uzna naśladowanie „Twórczości”.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na ukazanie się od dawna zapowiadanego miesięcznika pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego i Stefana Kuczyńskiego. Zeszyt pierwszy „Nauki i Sztuki”, który się ukazał, nie budzi oczywiście zastrzeżeń co do poziomu prac w nim zamieszczonych, lecz nie spełnia nadziei, jakie o nim piszemy wiazaliśmy. Już pierwszy rzut oka informuje, że zakres zainteresowań „Nauki i Sztuki” jest za szeroki, i że niepotrzebnie, wydaje się nam, pismo to ma ambicje „omnibusu”. Poezja i proza artystyczna, a nawet dział humoru (o charakterze dokumentaryjnym) w lepszym gatunku niż „Nauka i Sztuka” utwory literackie przedstawia z powodzeniem „Twórczość” oraz tygodniki poświęcone sprawom kultury. Aż trzy prace o charakterze historyczno-literackim. Wydaje się, że bez względu na ich wartość obiektywną, zbyt jednostronnie ukazują one „naukowość” miesięcznika. Tym bardziej, że wartość tych prac nie ulegały dewaluacji w czasie, i mogłyby one, zamiast jednocześnie, ukazać się w kolejności. Odczuwa się natomiast brak artykułów z dziedziny ścisłej humanistyki jak krytyka poznawcza czy metodologia nauk.

Dobrze natomiast prezentuje się w nowym piśmie część postulatyczna. „Myśli o nauce” J. K. Dębowskiego i uwagi „Na temat sztuki narodowej” J. Przybosiła to wypowiedzi istotne i bardzo potrzebne. Można by uważać za to, że programowe dla „Nauki i Sztuki” (nawet tytuły synchronizują z nazwą miesięcznika), gdyby nie to, że realizacje artystyczne i naukowe ukazane w piśmie niewielki mają z tymi wypowiedziami związek.

J. K. Dębowski broni jedności nauki, która została przez powierzchniową ocenę praktycznej wartości wiedzy podczas wojny nadwyższona. Przeczekano i przecenia się w dalszym ciągu, jak po każdej wojnie w ogóle, znaczenie umiejętności praktycznych. Przesada ta uwidoczniła się bezpośrednio w stosunku państwa do sprawy kultury, którą coraz bardziej odczuwa się za zespół wartości technicznych.

„Nauka wyznaczająca człowiekowi jednostkowemu i zbiorowemu należyte miejsce we wszechświecie okazuje się nie zbiorem wiadomości o charakterze użytkowym, lecz potęgą stanowiącą o losach ludzkości i Ludzkości wiasnymi krokami. Ludzkość i zdolność kierowania wiasnymi krokami. Ludzkość, od której własnego wyboru zależy, czy pójdzie dalej dotychczasową drogą wiodącą do zagłady, czy też wysnuwszy właściwe wnioski z potwornego doświadczenia dwu wojen światowych, wstąpi na szlaki wiodące do pełnego światła w braterstwie człowieka z człowiekiem i człowieka z przyrodą”.

Każda przesada jest szkodliwa. Warunki, w jakich się znajdujemy, wymagają wysiłku ogromnego. Akcenty uwagi winny być rozłożone równomiernie. Rozwój nauk przyrodniczych wiąże się ze sprawą podniesienia przemysłu i unowocześnienia gospodarki, od czego zależy nasz byt państwowy. Rozwój humanistyki jest ogólną sprawą kultury i ważności jej nigdy się dość nie podnieśli.

Brak widzenia ogólnego zarysu problemów nauki doprowadza w konsekwencji do ograniczenia rozwoju człowieka. Do tego samego celu doprowadziła zasciankowość poglądów na sztukę. Dlatego każda wypowiedź zbliżająca nas do tego ogólnego rozumienia, nie zważona do jednego gatunku, lecz obejmująca całość spraw sztuki, jest tak bardzo pożądana.

W uwagach „Na temat sztuki narodowej” Julian Przybosił sformułował w sposób jakże prosty swoje poglądy artystyczne. Są to poglądy pisarza, którego ideologii nie krępuje konieczność kompromisu z własną twórczością. Gdy inni bezideowość artystyczną kompensują retoryką, „historią”, „działaniami”, odmiennymi przez wszystkie przypadki teori i praktyki poetyckiej, lub wznoszą metafizyczne kapłanki dla swojej „inności”. Przybosił wskazuje najwyższą ambicję artysty, ambicję sztuki narodowej.

Sztuka staje się narodową wtedy, gdy osiąga wśród sztuk innych narodów stopień pełnej doskonałości, najwyższą wśród nich rangę artystyczną. Dlatego też narody mające dobrą sztukę, nie mó-

KOESPONDENCJA

ELFY I OLCHY

Do redaktora „Odrodzenia”

W nr 46 „Odrodzenia” podana jest ciekawa notatka prof. J. Reissa pt. „Zawsze to olchy”. Autor walczy z „biednym” tłumaczeniem tytułu ballady Goethego „Erlkönig” jako „król olch”, intuicyjnie raczej podając pierwotnie lepsze, „król duchów”, stawia jednak błędną etymologię. Chciałbym tę sprawę jasną w germanistyce a niejasną w polskich tłumaczeniach ballady Goethego przedstawić.

Wyraz Erlkönig wbrew autorowi nie wywodzi się ze staroniemieckiego wyrazu Earl co ma znaczyć duch, a więc Earl-König = król duchów. Earl nie istnieje w ogóle w staroniemieckim, jest w angielskim earl w znaczeniu „hrabia”, co zapewne pochodzi z nordyjskiego, staronordyjskie jarl „wolni człowiek, dostojnik, książe najbliższy królowi”, duńska jarl, dziś jarl, angielskie earl „wojownik, bohater, książę”, starosaskie erl „maz”, staronordyjskie erl w imionach złożonych ten sam pierwiastek jest w nazwie szczerpu germańskiego Herulur „Herulowie”.

Etymologia niemieckiego „Erlkönig” jest jasna. W słowach „Erl”, „König”, występuje „król elfów” (wielki kongle lub ellekongle pod wpływem upodobienia do duńskiego elle „Erl”, „olcha”, ponieważ wedle ludowych wyobrażeń elfy mieszkają wśród olch i wierzb we mgłach potoków).

Elfy tańczą w blasku księżyca na łące, a elcdans oznacza w Danii okrągłe miejsce na łące, gdzie trawa bujnie rośnie pod stopami elfów, natomiast w norweskim alvedans oznacza miejsce bez trawy na łące.

Pierwotna forma elfa to norweskie alv, staronordyjskie alfr, duńskie elv, starsze szwedzkie älf pochodzi z germańskiego albi.

Staronordyjskiemu alfr odpowiada angielskie aelf, co daje angielskie elf, które przeszło do niemieckiego w drugiej połowie XVIII w. jako Elf męskie i Elfe żeńskie. Rodzimą formą niemiecką jest Alp, dolnoniemieckie alf „zmorza”. Z angielskiego i niemieckiego pochodzą polskie elfy.

Wyobrażenia elfów należą do mitologii indoeuropejskiej, może elf oznacza „pomysłowy, zyczny, artysta”, staronordyjskie rhuksan, rhuu-. W Nibelungach występuje król elfów Alberich (rich „król”) w polskim „Jabryku”, w komedii Szekspira, w francuskim poemacie i u Wielanda Oberon.

Lepsza etymologia elfa to połączenie z norweskiego elf „rzeka”, „biała rzeka”, staronordyjskie elfr, germańskie albi-, niemiecka nazwa rzeki Elbe, u łacińskich i greckich pisarzy Albis, celtylek Albis, dziś Aube, słowiańskie Luba pochodzi z celtylekiego czy germańskiego, pierwsiastwie miałby znaczenie „biały” porównaj labezd „biały ptak”, nordyjskie alpt starowysokoniemieckie albiz.

W każdym razie imię męskie Alf występujące u Mickiewicza w „Konradzie Wallenrodzie” to niemieckie Alf, staronordyjskie Alfr = Aethwulf, gotyckie Athulf, niemieckie Adolf „szlachetny wilk” i nie ma nic z elfem wspólnego. Kiedy Herder tłumaczył w 1778 duńską balladę ludową Herr Oluf = Pan Oluf, dał w związku z dolnoniemieckim Ellor „Erl” = olcha (Erl(en)könig = król olch. Za Herderem wprowadził Goethe w 1782 roku „den Erlenkönig mit Kron” i Schwelb” = „króla olch z koroną i tencem” do poezji niemieckiej, ten Erlkönig = „król olch” rozpoczyna operetkę Goethego „Die Fischerin” wystawioną 22 lipca 1782 roku: „Unter hohen Erlen am Flusse” = „pod wysokimi olchami nad rzeką”.

A więc w dostojnym tłumaczeniu tekstu Herdera czy Goethego Erlkönig znaczy właśnie „król olch”, natomiast w pierwotnym oryginale duńskim elverkonge oznaczał „króla elfów”.

Adam Kleczkowski (Kraków)

O POLSKIEJ FUNDACJI NAUKOWEJ W NIEMCZECH

Do redaktora „Odrodzenia”

Fundacja ta jest „Fürstlich Jablonowskische”, dawniej „Societät” dziś „Gesellschaft”, „der Wissenschaften”, założona w roku 1774 w Lipsku przez wojewodę nowogrodzkiego Józefa Aleksandra Jablonowskiego.

O fundacji tej, o którą Polska ponownie weszła teraz kroki, napisała niedawno Helena Waniczkówna artykuł w nr 51 „Tygodnika Powszechnego” wymagający lektury i kultury.

I tak niestety jest, prócz nazwy fundacji, również zaznaczenie, że twórcą jej nie kierował się „paska fantazja, niechęć do ówczesnego rządu lub króla”. Słobizm jego był notoryczny (dość wspomnieć wydane przez Kraszewskiego pamiętniki Stanisławowskie), jak i właśnie niechęć do króla Stasia, którego uważał za swego rywala i uzurpatora.

Natomiast ma słuszność autorka świętych uwag, a i dawnych w „Nauce Polskiej” o fundacji, iż Jablonowski, pomimo dyktantyzmu, który go znamionował miał też pewien talent naukowy obok sentymentu do nauki był prócz tego, że wielostronny, wcale nawet dobry na polu nauk pomocniczych historii. Choć więc głównie myślał przy akcie fundacyjnym o stawie własnego imienia, jako patriota chciał też zabezpieczyć aktem wiecznym rozgłos naukowy swej ojczyzny.

I tutaj zaufanie jego do solidności saskiej doznało wielkiego zawodu.

Kapitał fundacyjny zabezpieczył Józef Aleksander Jablonowski na skarbu gdańskim i jego dobach, przy czym z przynoszonych przez sumę odnośna odsetek rocznych wyznaczono trzy małe wartości 24 dukatów na nagrody, reszta na honorarium sekretarskie i druk promiowanych rozpraw. Pośród członków sądu konkursowego (głównie profesorów wszechniczy Lipskiej) zawsze miał „dla honoru sprawy ktoś z narodu polskiego być obecnym”.

Towarzystwo miało za zadanie wyznaczać co roku tematy konkursowe przede wszystkim z historii Polski i z dziejów ludów słowiańskich, nadto matematyczno-przyrodnicze i ekonomiczne — oraz nagradzać je.

Za cały ten długi czas, od XVIII wieku po dzień dzisiejszy, wydrukowało towarzystwo zaledwie parę słabych prac Jablonowskiego (o Lechu i Inne), o lenie polskim, odsiecz Wiednia, sejmach Jagiellońskich (Bentkowskiego), o dziejopisarstwie średniowiecza polskiego (Zeissberg) i o języku polskim i cesadnictwie Słowian (Brücknera).

Co roku od 1774 miał być opracowany temat polski lub inny słowiański — a co z tego wyszło! Niemcy zmienili w praktyce całą osnowę zarządzeń sędzi fundacyjnego, nie dbali o kontakt z nauką polską, a nawet umyślnie go zamieścili (nieudale) za cały czas! Zamiast medalii wypłacali bezprawnie nagrody, drukowali, jak na kpinę, zamiast polonistów lud sławców — o kolonizacji i germanizacji obszarów sasko-labskich, o niemieckich czasopismach nowożytnych itp. — bez udziału „kogoś z narodu polskiego”.

Już w roku 1912 wystąpił w Warszawie niezadowolony Aleksander Kraushar z inicjatywą zwrotu ze strony Niemców sum wydana na bezprawne cele i premie (w sprawie fundacji naukowej Tow. im. J. A. Jablonowskiego, wojewody nowogrodzkiego w Lipsku).

Ministerstwo Spraw Zagranicznych z Inicjatywą Kraushara i piszącego te słowa zaczęło w roku 1931 kroki rewindykacyjne. Dziś możemy zgodnie z prawem domagać się przeniesienia fundacji tej na inne miejsce, ewentualnie do Polski i żądać, niestety tylko za lat trzydzieści, odszkodowania od Niemców za wydatkowanie bezprawne sum pomienionych.

Jerzy Pogonowski (Kraków)

A P E L

Do redaktora „Odrodzenia”

Z upoważnienia sprawującego prawa autorskie poległym poecie Tadeuszu Gajcym (Karolu Topornickim) matki jego, proszę w sprawie ewentualnych druków czy innej formy wyzyskania spuścizny literackiej Zmarłego, zwracać się do mnie.

Roman Bratny
Konstancin, willa „Witoldówka”.

CZY TEL. NIK W TYCH DNIACH UKAŻĄ SIĘ NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „CZYTELNIK” CZY TEL. NIK

POŁA GOJAWICZYŃSKA

KRATA

POWIEŚĆ

MARIA DĄBROWSKA

MARCIN KOZERA

OPOWIADANIA

TOMIK 2

BIBLIOTECKI MŁODEGO CZYTELNIA

JÓZEF GRYCZ

BIBLIOTEKARSTWO PRAKTYCZNE W ZARYSIE

PODRĘCZNIK I PORADNIK

J. NAMITKIEWICZ / A. RAKOWER

USTAWA O MAJĄTKACH OPUSZCZONYCH I PORZUCONYCH

KOMENTARZ

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK” CZY TEL. NIK